

**ARCHIWUM REWOLUCJI**

---

**GALINA SIERIEBRIAKOWA**

# HURAGAN

**INSTYTUT**

---

**PARYŻ**



**LITERACKI**

---

**1967**









# HURAGAN

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 149

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ARCHIWUM REWOLUCJI

---

GALINA SIERIEBRIAKOWA

# HURAGAN

Z rosyjskiego przełożył  
JÓZEF ŁOBODOWSKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

Tytuł oryginału: SMIERCZ

## PARTYJNA DROGA PRZEZ MEKĘ

*Latem 1962 roku ukazało się w wielu dziennikach zachodnich sprawozdanie z „herbatki” urządzonej przez Chruszczowa dla literatów sowieckich. Korespondenci moskiewscy donieśli wówczas że „pisarka rosyjska Sieriebriakowa”, autorka Życia Marksa, wystąpiła gwałtownie przeciw obecnemu na przyjęciu Erenburgowi, zarzucając mu iż żył jak barin gdy jego koledzy po piórze gnili w więzieniach i łagrach. Jeden z dziennikarzy dodał nawet, że był to atak „prawie histeryczny” i że „tkającą kobietę” musiano — wśród ogólnego zakłopotania — uspokajać jakimiś specjalnymi środkami. Ale pewniejszym środkiem na uspokojenie Sieriebriakowej było przypuszczalnie imprimatur na urywek z jej wspomnień więzienne-oboazowych Kartka Borysa Gorbatowa. Ogłosiła go Literaturnaja Rossija w numerze z 11 stycznia 1963 roku (przekład polski w Kulturze z maja tegoż roku).*

*Galina Sieriebriakowa urodziła się w roku 1905 w polsko-rosyjskiej rodzinie rewolucjonistów. Do partii wstąpiła jako czternastoletnia dziewczyna. Po wojnie domowej, w której brała czynny udział, ukończyła Uniwersytet Moskiewski, a począwszy od roku 1925 poświęciła się całkowicie pracy dziennikarskiej i literackiej. W roku 1929 wydała książkę o Kobietach w Rewolucji Francu-*

skiej, po czym zabrała się do trylogii o życiu Marksa. Pierwsza część tej trylogii, *Młodość Marksa*, ukazała się w roku 1936. W tym samym roku Sieriebriakowa została aresztowana. Spędziła w więzieniach i łagrach dwadzieścia lat: zwolniono ją i „zrehabilitowano” w roku 1956. W ciągu następnych kilku lat napisała szereg nowych książek, między innymi *Wykradzenie ognia i Szczyty życia*. Jej główną ambicją pisarską stało się jednak utrwalenie własnych przeżyć więziennych i obozowych. Zwięzły tekst, zatytułowany *Smiercz (Huragan)*, był już za zgodą Chruszczowa — protektora Sieriebriakowej — całkowicie złożony i gotowy do druku, gdy nastąpił upadek autora *Tajnego Raportu*. Skład w drukarni natychmiast rozsypało, ale jedna z odbitek szczotkowych dotarła z Rosji do Kultury. Wypadło w niej niestety kilka stron, a tu i ówdzie poważne uszkodzenia uniemożliwiły odczytanie dłuższych czy krótszych fragmentów (są one w przekładzie polskim wykropkowane). Choć dotkliwie, braki te nie umniejszają w niczym wagi dokumentu i nie zamazują zbytnio jego treści.

Lektura *Huraganu* przywodzi naturalnie na myśl przemocy w zeszłym roku z Rosji i głośny już dziś na Zachodzie pamiętnik Jewgienii Siemionowny Ginzburg *Stroma droga*. Materiał wyjściowych sytuacji życiowych i dalszych doświadczeń obu autorek jest niemal identyczny: oddane całym sercem partii komunistki, żony wysokich dygnitarzy (mężem Sieriebriakowej był moskiewski komisarz ludowy, mężem Jewgienii Ginzburg kazański prominent partyjny), pisarki i dziennikarki o zacięciu popularyzatorskim, aresztowane u progu wielkich czystek i oderwane od dzieci (syn Jewgienii Siemionowny, młody i znany prozaik Wasilij Aksjonow, spędził po aresztowaniu rodziców część dzieciństwa w dietdomach), włóczęne po więzieniach i łagrach przez dwadzieścia lat, zwolnione i „zrehabilitowane” po *Dwudziestym Zjeździe*.

Podobieństwo nie kończy się na tym. *Stromą drogę* otwiera motto z wiersza Jewtuszenki Spadkobiercy Sta-



lina: „Zwracam się do naszego rządu z prośbą: podwoić, potroić straż nad tym grobem”. W słowie wstępnym do książki Jewgenia Ginzburg powiada: „Spisywałam te wspomnienia jako list do mojego wnuka. Wydawało mi się że dopiero w roku 1980, kiedy mój wnuk będzie miał dwadzieścia lat, wszystko to stanie się na tyle zamierzczą przeszłością by mogło dotrzeć także do innych. Jak to dobrze, że się omyliłam! W naszej partii, w naszym kraju na nowo panuje wielka leninowska prawda. Już teraz można opowiedzieć ludziom o tym co było a co nie powtórzy się nigdy więcej. Oto one — wspomnienia szeregowej komunistki. Kronika czasów kultu jednostki”. Tę samą nutę słychać, jak daleki akompaniament, w Huraganie Sieriebriakowej: co było a nigdy więcej nie będzie wolno pisać w rejestr, zwyciężyła w końcu „wielka prawda leninowska”, stalinizm był tylko krwawą ale przelotną wysypką na zdrowym ciele Rewolucji, nieomylna i sprawiedliwa partia otrząsnęła się nareszcie z chwilowego zamroczenia. Odnoszę się z pewnym sceptycyzmem do szczerości tych partyjnych zaklęć magicznych; i zdają się go potwierdzać rzucone mimochodem wyznania w obu książkach. W Stromej drodze: „Leżę z otwartymi oczami na środkowej pryczy i do głowy przychodzą mi najbardziej heretyckie myśli o tym jak umowna jest granica między wiernością szczytnym ideałom i tępą nietolerancją, i o tym jeszcze jak względne są wszelkie światopoglądy a jak — na odwrót — absolutne te straszne męki, na które ludzie skazują się nawzajem”. W Huraganie: „Przypominałam sobie (w więzieniu) słowa Büchnera o Dantonie: Rewolucja, jak bóg czasu Saturn, pożera własne dzieci”. W każdym razie istnieją dwie możliwości: albo Jewgenia Ginzburg i Sieriebriakowa nie wyniosły ze swoich przeżyć więziennych i obozowych żadnej głębszej nauki, albo nie ośmieliły się czy nie potrafiły doprowadzić jej do ostatecznych konkluzji. Oba pamiętniki są więc, mimo ich znacznej wartości dokumentarnej, tylko połowicznym wkładem do procesu destalinizacji. Ludz-

*kiego, a nie jedynie partyjnego, obrazu drogi przez mękę czasów „kultu jednostki” szukać będą wnuki Jewgenii Ginzburg i Sieriebriakowej w Dniu Iwana Denisowicza Sołżenicyna, w Opustoszałym domu Lidii Czukowskiej, w Requiem Achmatowej i w epilogu Doktora Żiwago.*

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

*(brak pierwszej strony)*

... całym sercem zbliżyłam się do twórczości tego wielkiego poety.

W mieszkaniu Swanidze, za Metropolem, spędzaliśmy niezapomniane wieczorowe godziny w cichych, intymnych rozmowach, albo w namiętnych dyskusjach na tematy literackie, muzyczne i historyczne.

Maria Anisimowna, która była kameralną śpiewaczką z zawodu, śpiewała, sama sobie akompanując, z udzielającym się wszystkim uczuciem, romanse Czajkowskiego, Rachmaninowa, Metnera, ku wielkiemu zadowoleniu Alliujewej, która, najwidoczniej, bardzo lubiła muzykę. Zazwyczaj Nadieżda Siergiejewna siadywała na brzeżku otomany i, milcząc, słuchała.

Maria Anisimowna stale starała się podkreślić swoją dawną przyjaźń z Josifem, jak po prostu nazywała Stalina, a zwłaszcza przyjaźń z jego żoną. Niejednokrotnie pokazywała mi zdjęcia fotograficzne, zrobione w Soczi, lub w Podmoskowju, zdjęcia na których zostały utrwalone wspólne spacerory rodziny Swanidze z rodziną Stalina.

Od wczesnej młodości wiedziałam o cierpieniach Alliujewej, spowodowanych nieszczęśliwym małżeństwem. Poznałam Nadieżdę Siergiejewnę w Tbilisi, w roku 1922 w domu Siergo Ordżonikidze, do którego przyjechała z maleńkim synem po jakiejś małżeńskiej kłótni. Powód

do kłótni dała żona jednego z sekretarzy CK, którą celnie nazwano „przerzutnicą”.

Podczas pierwszego spotkania Allilujewa wydała mi się jedną z tych cudownych Tamar i Nin, stworzonych przez Lermontowa, które jeszcze w dzieciństwie zapanowały nad moją wyobraźnią.

Nieco wcześniej, bodajże przy końcu 1921 roku poznałam również Stalina. Spotkanie odbyło się w dyrektor-skiej loży Wielkiego Teatru w Moskwie, w czasie premiery „Księcia Igora”, mojej najbardziej ukochanej opery. Po dziś dzień, po przeszło czterdziestu latach, pamiętam wszystko, najdrobniejsze szczegóły, nawet to, że miałam na sobie kokieteryjną bawełnianą sukienkę, niebieskiego koloru, która wydawała mi się wtedy wspaniała — ubierałam się w nią tylko wtedy, gdy szłam do teatru. Zazwyczaj miałam na sobie czarną spódnicę i satynową rosyjską koszulę, zapiętą pod szyją.

Stalin zaskoczył mnie niskim wzrostem, chuderlawością i wąską piersią. Niezwykle poorana ospą skóra twarzy miała jakąś szaro-ceglastą barwę. Linia ust pod gęstym wąsem ani wtedy, ani...

*(brak strony)*

Następnego dnia Maria Anisimowna powiedziała, że po pogrzebie Josif cały wieczór spędził w towarzystwie najbliższych osób i przez cały czas mówił tylko o nieboszczce, wyrażając swój podziw i zachwyt dla jej bohaterstwa, wykazanego właśnie samobójstwem. Porównywał zmarłą z żonami swoich przyjaciół i podkreślał, że żadna z nich nie zdobyłaby się na odwagę popełnienia samobójstwa. Ściany sypialni Stalin ozdobił wielką ilością portretów Nadieжды Siergiejewny i bez zwłoki zamówił pomnik na jej grób, przy czym interesował się każdym najmniejszym szczegółem. Bardzo często odwiedzał Nowodziewiczny cmentarz.

W ciągu tych czterech lat, aż do fatalnego dla mnie

dnia 26 lipca 1936 roku, miały miejsce jeszcze dwa przygnębiające wydarzenia.

W dniu 1 grudnia 1934 roku zginął Kirow.

Kula, wymierzona przeciw wielkiemu trybunowi, zaważła także o serce Partii. Lud kochał Kirowa i na XVII Zjeździe Partii, gdy wybierano Komitet Centralny, otrzymał on zgodnie z ilością głosów pierwsze miejsce. Czy nie ta fatalna okoliczność zadecydowała o jego losach?

Podstępny wystrzał, który powalił jednego z najbardziej pewnych leninowców, przerzucił szeroką drogę dla terroru wewnątrz Partii. Wątpliwe jest jednak, czy ktokolwiek, z wyjątkiem zbrodniarzy, którzy targnęli się na życie Siergieja Mironowicza, rozumiał wówczas, że na historycznej scenie rozpoczęła się nieznana dotąd tragedia.

Są ludzie, którzy promieniują osobistym czarem, jak gdyby wydawali z siebie ciepłe światło. Kirow był jednym z nich. W jego powierzchowności nie było nic nadzwyczajnego. W tłumie robotników wydawał się jednym z wielu, ale wystarczyło ujrzeć go na trybunie, aby nigdy nie zapomnieć ani wspaniałego głosu, ani gestykulacji, ani natchnionej twarzy tego wybitnego, urodzonego mówcy.

Po raz pierwszy słyszałam Kirowa w Baku, gdzie wystąpił przed robotnikami z naftowego zagłębia. Przyjechaliśmy z nim razem i na godzinę przed wystąpieniem piliśmy herbatę w jego mieszkaniu. Przy poznaniu Siergieja Mironowicza nie zauważyłam w nim nic nadzwyczajnego, chyba że jego serdeczną gościnność i przywiązanie do zwierząt. Kiedy jego żona, Maria Lwowna, zaprowadziła mnie do stołowego pokoju, bawił się z wesółym psiakiem i natychmiast zaczął nas częstować herbatą i kanapkami. Ale kiedy Kirow przeszedł przez tłum robotników na trybunę i, nie zdejmując palta, zaczął mówić, nie poznałam go. Przed nami był zupełnie inny człowiek, absolutnie przekonany o słuszności wypowiada-

nych opinii, namiętny, zdecydowany żeby niejako przepompować ze swego serca wszystko, co w nim zebrał, na użytek tych ludzi. Oczy błyszczały, zauważyłam jak mocno zarysowały się usta tego urodzonego mówcy, ręka niczym ptak szybowała nad oczarowanymi słuchaczami. Głos spotężniał i wypełnił sobą całą salę. Wydawało się, jak gdyby Kirow wyzywał na pojedynek swoich wrogów ideowych. Wydał mi się autentycznym rycerzem-zwycięzcą, który bez wysiłku walił na ziemię swoich przeciwników. Przysłuchując się temu co mówił Kirow, zrozumiałam, że siła jego polegała nie tylko na zewnętrznych zaletach mówcy, ale również i na treści tego, co wypowiadał. Wiedział dużo i niespodziewane przykłady z historii, życia, literatury wplatały się interesująco w jego mowę, rozumiałą, prostą i przekonującą. Kirow improwizował w najlepszym znaczeniu tego słowa. Zawsze miał coś do powiedzenia. Dużo wiedział, przemyślał, rozumiał.

W roku 1925 spotkaliśmy się z Kirowym i jego żoną na Kaukazie i tam miałam okazję obserwować go w powzednim życiu. Podczas wakacji nigdy nie rozstawał się z książkami, czytał bardzo dużo, zwłaszcza beletrystykę i prace historyczne. Kiedyś zdarzyło się, że długo wędrowaliśmy w górach. Kirow opowiadał nam o Kaukazie, jego ludach, a przede wszystkim niezwykle szczegółowo o starożytnej Kolchidzie. Mówił z takim znanstwem tematu, jak gdyby był uczonym, który tej sprawie poświęcił całe swoje życie. Nagle rozmowa, głęboka i błyskotliwa jak górski wodospad, zahaczyła o jakąś wypowiedź Marksa. Okazało się, że i w tym nowym żywiole Kirow czuł się jak we własnym domu. Wspaniale znał wszystkie prace Marksa i Engelsa. Nieśmiało zapytałam go, gdzie studiował marksizm.

— W więzieniu i na zesłaniu — powiedział, rozciągając szeroko usta w uśmiechu. — To doskonały uniwersytet.

Wtedy też dowiedziałam się jak bardzo Kirow lubił

pieśni, zwłaszcza ludowe i rewolucyjne. Co wieczora, gdyśmy zbierali się na tarasie koło salonu, gdzie stało pianino, prosił kogoś o śpiew i sam wtórował, zmuszając innych kolegów, by przystąpili do chóru. Czegośmy tylko wtedy nie śpiewali! — „Stieńkę Razina”, „Myśmy kowale i młodzi duchem” i nadwożańskie czastuszki.

Siergiej Mironowicz niepotrzebnie siebie krzywdził, twierdząc, że kiedyś niedźwiedź przydeptał mu ucho; śpiewał całkiem melodyjnie. Zapamiętałam dobrze jak starannie prowadził solową partię w pieśni, która tego roku bardzo wszystkim przypadła do gustu: „Za Uralem mieszka cieśla, jakież złoty-złociuteńki...!”

Na początku lat 30-tych przez kilka dni przebywałam w mieszkaniu Kirowych, w Leningradzie, przy ulicy Czerwonych Zórz. Siergiej Mironowicz późno wracał do domu. Wydawał mi się zarazem człowiekiem szczęśliwym, jak każdy twórczy działacz, i bardzo zmęczonym. Często mówił, że człowiek jest tworem niedoskonałym, ponieważ zmuszony jest do spania, przez co traci mnóstwo drogiego czasu i nie może opanować fizycznie wszystkiego, nad czym panuje myśl.

— Nasz mózg jest skonstruowany o wiele lepiej niż cała reszta organizmu — ręce nie nadążają za myślą. Myśl już szybuje za jutrzejszym dniem komunizmu, a ręce dopiero zaczynają wyrabiać pierwsze traktory.

Akurat w owym czasie Putiłowska fabryka zaczęła wypuszczać traktory „Uniwersał”. Każde osiągnięcie w uprzemysłowieniu kraju stanowiło w rodzinie Kirowa prawdziwe święto. Leningrad stał się już w tamtych latach ogólnozwiązkowym laboratorium przemysłowym: pierwsze...

*(Tu stronica maszynopisu jest tak uszkodzona, że nie ma mowy o odtworzeniu tekstu. Można jedynie domyślać się, że autorka pisze o zamachu na Kirowa i wrażeniu, jakie jego śmierć wywarła w Związku Sowieckim).*

Po pracy opanywała mnie chęć, żeby długo leżeć pod drzewami, oddając się marzeniom i bezmyślności.

Któregoś dnia, krótko przed katastrofą, która strąciła mnie na dno przepaści, małżonkowie Swanidze, z maleńkim synkiem Dzonridem, zjechali do nas, do letniej willi. Aleksiej Siemionowicz był w niewesołym nastroju. Długi czas spacerowaliśmy po lesie, siedzieliśmy na brzegu maleńskiej rzeczutki. Niebo było przeraźliwie błękitne, szybowwały ważki, przyroda trwała jakby w zachwyceniu. Nerwowym, przerywanym głosem Swanidze spierał się z pewną bliską mi osobą:

— Aresztowania kontynuują nie tylko w Leningradzie, ale i w Moskwie... Co prawda, zawsze uważałem, że on nie jest rewolucjonistą i zawsze mu to mówiłem prosto w oczy. Koba nie lubi ludu, co więcej — gardzi nim. Jego miłość własna może drogo kosztować partię. Osobiście nie wierzę w zdradę takich bolszewików, jak... — tu Swanidze wymienił kilka nazwisk.

— Mogą mówić wszystko, co im się podoba, ale nie to, że stali się agentami Gestapo — ciągnął dalej. — Co do Jagody, to niebezpieczny karierowicz, mógłby powiedzieć to samo co Fouché Napoleonowi, gdy ten zapytał go o spiskowców: — Dopóki istnieje policja, dopóty będą istnieć spiski.

W latach trzydziestych wszyscy rozczytywaliśmy się w „Talleyrandzie” Tarlego i „Fouché” Zweiga. Swanidze wielokrotnie cytował te dwie książki.

— Ileż nieszczęść zważyło się na nas w ciągu tych ostatnich lat — zauważyła Maria Anisimowna. — Śmierć Nadi, zabójstwo Kirowa. Wszyscy patrzą na siebie nawzajem jak wilcy, nie rozumiem, niczego w ogóle nie rozumiem...

— Nie ma powodu żebyś rozumiała. To nie są kobiece sprawy — zażartował Swanidze.

Maria Anisimowna uniosła w górę swoje szaro-nie-



bieskie oczy, zrobiła miły grymas, który uczynił jej twarz niezwykle piękną, i powiedziała:

— Alosza twierdzi, że Josif wiele traci, gdy go poznasz zbyt blisko i dlatego trzyma ludzi na dystans... Dla mnie, mimo, że go znam od tyłu już lat, zawsze był zagadką i takim pozostał.

— Wielcy ludzie są często wielkimi aktorami — powiedział Aleksiej Siemionowicz. — Ale lepiej o tym nie mówić. Od pewnego czasu takie rozmowy stały się niezwykle niebezpieczne, nawet jeżeli toczą się w lesie.

— No, wiesz — rozżłościła się żona — to do nas nie stosuje się w żadnym wypadku. Josif dosłownie jednego dnia nie może spędzić bez Aloszy, chociaż ten mówi mu często najbardziej nieprzyjemne rzeczy. — Maria Anisimowna zaczęła energicznie wachlować się. — A któż właściwie ma mówić mu prawdę, jeżeli nie starzy, wierni przyjaciele?! Josif nieustannie skarży się, że dokoła brakuje oddanych mu ludzi, a w ogóle brakuje oddanych, uczciwych pracowników niemal na każdym terenie. Sam mi o tym mówił.

Rozmowa urwała się. Z zapałem układaliśmy bukiety z rumianków i polnych goździków. Późnym wieczorem Swanidze pojechali do miasta i nigdy więcej nie zdarzyło mi się już z nimi spotkać. Znacznie później dowiedziałam się, że oboje zostali aresztowani w 1937 roku i tragicznie zginęli za wiedzą Stalina.

Ani oni ani ja, w tym dniu ostatniego spotkania, nie przewidzieliśmy, co nas czekało. Niewinność jest zawsze bezbronna. A jednak nasz lęk ciągle wzrastał, gdyż tajemniczy wicher represji, który nadleciał nie wiadomo skąd, wyrwał z szeregów naszych przyjaciół jednego po drugim. Jednakże z uporem staraliśmy się przekonać samych siebie, że widocznie są winni, bo przecież organy sądowe nie mylą się. Tłumiąc ból serca, twierdziliśmy:

— Nas przecież nie aresztowano! A dlaczego? Dlatego, że jesteśmy niewinni.

Niekiedy sumienie zaczynało dogryzać z taką siłą, że

zmuszało do ujmowania się za ludźmi, którym wierzyliśmy przez tyle lat. Nieśmiało i niekonsekwentnie staraliśmy się coś wyjaśnić i... cofaliśmy się. Wiara w praworządność socjalistycznej sprawiedliwości zwyciężała i woleliśmy znowu zachowywać milczenie.

— Zbadają dokładnie, ponad wszelką wątpliwość dojdą do prawdy, a skoro nie winien, uwolnią — mówiłam na wiosnę 1936 roku do żony jednego z aresztowanych przyjaciół. Hipnotyzując sama siebie, wmawiając sobie, że tak właśnie się stanie, nie dostrzegałam, że dokoła mojej rodziny, moich bliskich, nie wiadomo czemu, tworzy się i pogłębia jakaś pustka. Ci i owi, prawdopodobnie przewidujący, albo, być może, zorientowani już przyjaciele przestali nas odwiedzać i przy przypadkowych spotkaniach zachowywali się jakoś dziwnie. Ale zrozumiałam to wszystko znacznie później, dopiero w ciągu długich, samotnych lat więziennych. W roku 1936 odpędzałam precz niespokojne myśli i żyłam szczęściem, jakiego doznaje człowiek, zajęty ukochaną sprawą, tak wielką, że dla jej zrealizowania nie starczy jednego życia. I nikt z otoczenia nie wyprowadzał mnie z tej błogostawionej niewiedzy. Nikt, oprócz Dmitria Zacharowicza Manuilskiego i Wiktora Zinowiewicza Karpowa.

Zawsze uciekamy przed nieszczęściem, łatwo oszukujemy siebie i nie chcemy zaglądać w przyszłość, jeżeli zapowiada nam złe rzeczy.

Manuilskiego poznałam w roku 1935 w Barwichu. Towarzyski, dowcipny, łatwo nawiązywał bliski kontakt z ludźmi. Kiedyś w lesie zaśpiewałam mu kilka operowych arii. Z dzieciństwa śpiew...

... była dobrą muzyczką i to ona pozostawiła mi w spadku dobry słuch i głos. Od dzieciństwa przepowiadano mi sławę śpiewaczki. Starannie uczyłam się śpiewu. Ale kiedy Nikołaj Siemionowicz Gołowanow, który uczył mnie arii Jarosławny z opery „Książę Igor”, zaproponował mi stałą pracę w Teatrze Wielkim, zgubiłam się zupełnie, nie wiedziałam jak się zachować.

Wszystkie moje myśli i zamiary biegły ku piśmiennictwu; wydrukowałam już kilka książek, dzięki nim poznałam Gorkiego. Postanowiłam mój życiowy los poddać jego decyzji. Wysłuchał mego śpiewu i pochwalił go, ale wypowiedział się w sposób zdecydowany.

— Twórczość pisarska jest bardziej istotna niż śpiew. W zasadzie artysta występujący na scenie przekazuje tylko cudze pomysły. W żadnym wypadku nie należy odchodzić od literatury. Ale proszę pamiętać — sztuka nie znosi połowiczności. Pochłania człowieka w całości. Co więcej, radzę, żeby nikt z piszącego towarzystwa nie dowiedział się, że śpiewacie, bo zaraz zaczną mówić: „W literaturze śpiewaczka, a w śpiewie pisarka”.

Zagadnienie wyboru zawodu było więc już od dawna rozstrzygnięte, toteż tym bardziej się zdziwiłam, kiedy Dimitrij Zacharowicz powiedział mi z widocznym niepokojem:

— Natychmiast, nie odkładając, idźcie na scenę. Macie taki głos, że zostaniecie od razu zauważona przez właściwych ludzi. Usłyszycie was i sam Stalin, a wtedy będziecie uratowana. Pisarz to tak jak polityk, artystka — to zupełnie co innego. Wybraliście sobie najbardziej fatalny zawód... — po czym z żartobliwą intonacją zakończył: „Bracia pisarze, nad waszym losem ciąży fatum!” Trzeba działać! Powiedziałem wam wszystko. Teraz śpiewać, a jak się zestarzejecie, to będziecie mogli powrócić do pióra.

Ta nieoczekiwana przestroga powinna była zmusić mnie do baczności, zaniepokoić, ale przekonałam samą siebie bez trudu, że Manuilskij, który sam ładnie śpiewał, najwyżej ze wszystkich rodzajów artystycznych ceni śpiew. Tak pomyślałam i uspokoiłam się.

Mój bliski od wielu lat przyjaciel, Wiktor Karpow, lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, do czego w życiu dążę, jakie są moje marzenia. W przeszłości Karpow był czekistą, potem członkiem Centralnej Komisji Kontroli

przy CK Partii, wybitnym działaczem w dziedzinie sowieckiej i partyjnej kontroli.

Jakoś w lecie 1936 roku przyjechał z Charkowa do nas, na wieś. Po wysłuchaniu moich twórczych planów, z których zawsze się przed nim zwierzałam, uważnie obejrzał wygodnie urządzonego pokój, zastawiony szafami z książkami i na półkach różnymi pamiątkami, szeroko rozstawił potężne ręce marynarza:

— Widzę żeście się tu na długie lata urządzili. Wygody. Pięknie, nie można zaprzeczyć. Po prostu stary, ziemiański domek jak u Puszkina. A przecież i to życie i ten domek zbudowane są na szczycie czynnego wulkanu i wy niczego nie rozumiecie. W kraterze kipi, a ta cudaczka piosenki sobie wyśpiewuje. Należy ratować się, a tej w głowie jakaś gra na klawecynie.

— Wiktor, co to znaczy, co chcesz przez to powiedzieć? Przed czym mam się ratować? To mój kraj, moja partia!

Karpow podszedł do mnie bliżej. Patrzyłam w jego opaloną, odważną twarz, mocne, ściśnięte usta i w wąskich, głęboko zapadniętych oczach, wielce osobliwych, gdyż jedno oko było brązowe, a drugie szare — dostrzegłam taki niezwykajny u niego strach, że zdetonowałam się, cofnęłam i schowałam przed tą prawdą, którą Karpow zapewne znał.

Po roku Karpow został aresztowany i zginął.

Dostałam się w szalony wir życia.

Osiemnastego czerwca 1936 roku umarł Gorkij.

Często nie rozumiemy w dostatecznym stopniu wielkości i niepowtarzalności wielu osób, nie zdajemy sobie sprawy, jak są nam drodzy i potrzebni. Dopiero nad trumną właściwie oceniamy naszą stratę. Ale spóźnione żale i narzekania już nie pomogą.

Gorkij namiętnie kochał ludzi. Przenikliwy, mądry, hojny, wielkimi garściami rozrzucał między nas swój czas i swoje przemyślenia. Ileż godzin stracił na czytaniu naszych często niedojrzałych utworów i robił to tak staran-

nie, że poprawiał nawet błędy gramatyczne i znaki przesłankowe. I to w okresie pracy nad „Klimem Samginem”!

Jak każdy wielki pisarz, Aleksiej Maksimowicz, był zawsze niepewny samego siebie, potrzebował zachęty, pochwały, zajęcia się jego twórczością.

Artysta, gdy wychodzi na teatralną scenę, widzi objawy zadowolenia widza, doznaje jego wdzięczności za natchnioną grę, natomiast pisarz, tworzący w ciszy swego gabinetu, jest samotny. Iluż znakomitych prozaików i poetów umarło, nie doznawszy tej satysfakcji, że lud ich uznał i polubił.

Gorkij zdobył sławę i szacunek, ale wielu spośród nas, jego uczniów, w owych trzydziestych latach, tak było zajętych własnymi osobami, nie traktowało go tak, jak na to jego wielkość zasługiwała. Przerzucając karty czasopism i dzienniki z początków lat trzydziestych, człowiek nie może oprzeć się zdumieniu, że zawodowi krytycy i literaci tak mało pisali o „Klimie Samginie” — tym dziele największego talentu, książce naprawdę epokowej. Gdy kiedyś Awerbach zaczął szczegółowo analizować jeden z pierwszych, ledwie co wydrukowanych rozdziałów wspaniałej powieści, iskierki radości zapaliły się w oczach Gorkiego. Znacznie później, już w więzieniu, trzy razy pod rząd przeczytałam Samgina i przypomniałam sobie z goryczą, że nigdy za życia Gorkiego nie mówiłam mu o jego książkach, ani mu nie podziękowałam. Czy była to nieśmiałość, czy też pewność, że wielki pisarz i tak zna swoją wartość i znudzony jest pochwałami? A przecież jedynie człowiek nie posiadający siły twórczej jest zadowolony i pewny siebie. Prawdziwego artystę zawsze dręczą wątpliwości, pochwała jest dla niego niczym witamina, bez której serce usycha.

W minimalnym stopniu przejęłam od niezwykłego znawcy dusz, jakim był Gorkij, to, czym tak hojnie był gotów obdarować swoich młodszych kolegów po fachu. Dopiero wtedy, gdyśmy, tak przedwcześnie i całkiem nieoczekiwanie Gorkiego stracili, wielu z nas, a

wśród nich i ja sama, zdaliśmy sobie w pełni z tego sprawę.

Stojąc na honorowej warcie i patrząc na zadziwiająco spokojną nawet lekko uśmiechającą się pod wąsem twarz, wciąż nie byłam w stanie uwierzyć, że Gorkiego już nie ma.

Przychodziła na myśl jego chciwa miłość życia i ludzi.

Przez całą noc oczekiwaliśmy w krematorium trumny pisarza, która miała przybyć z Domu Związków.

Nareszcie zjawił się kondukt żałobny. Wśród tych, którzy nieśli trumnę na ramionach zauważyłam Jagodę i jeszcze kogoś z kierowników NKWD.

Cicho rozlegały się smutne dźwięki organów. Wszyscy milczeli. Panował półmrok, nikłe światło ledwie padało na... krewnych i przyjaciół... wdowa w żałobie... oparta o... Nieco dalej Maria Ignatiewna Butberg... kobiety jakoś wszystkie były do siebie podobne: wyniosłe, dumne, uduchowione.

Trumnę powoli opuszczano w czeluść luku. Muzyka zagłuszała czyjś płacz.

Wkrótce było po wszystkim. Gdyśmy wyszli z krematorium, spojrzałem ku szaremu, surowemu gmachowi. Z komina... snuł się rzadki dymek. Po... ścieżek groby były takie maleńkie, że wydawało się, iż tylko ludzkie serce mogło się zmieścić pod każdą mogilną płytą. Pod ziemią znajdowały się urny.

I nagle wyraźnie usłyszałam głos Gorkiego:

— A co do mnie — nigdy nie będę chciał umrzeć.

Następnego ranka wmurowano urnę z prochami Gorkiego w kremłowską ścianę na Czerwonym Placu. Przypomniałam sobie, że tu właśnie, w roku 1924, przy drewnianym ówczynie mauzoleum Lenina, widziałam wieniec, a przy nim żałobną wstęgę, która lekko chwiała się pod mroźnym styczniowym wiatrem. Na wstędze napis, czarne litery:

„Żegnaj, przyjacielu...  
Gorki j”.

Aleksieja Maksimowicza pochowano. Suche, upalne lato znużyło przyrodę i ludzi. Mieszkałam na wsi, pisałam o wydarzeniach wojny domowej i rzadko jeździłam do Moskwy. Któregoś dnia zadzwonił do mnie Fadiejew i powiedział, że ma u siebie w gabinecie wybitnego poetę, Sakiena Sejfullina, który przyjechał do Moskwy na dekadę sztuki Kazachstanu. Przywiózł ze sobą moją książkę „Młodość Marksa”, przełożoną przez niego na język kazachski. Poprosiłam Sejfullina, żeby przyjechał do mnie, do Bakowki. Wkrótce zjawił się z książką, ze skrzynką słynnych jabłek z Ałma-Aty, oraz z urzędowym zaproszeniem do stolicy tej dalekiej republiki. Sejfullin miał powierzchność, jakiej się nie zapomina: wydawało się, że przed chwilą zszedł ze staroperskiego fresku, brakowało mu tylko kolczugi i zakrzywionego miecza. Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o swoich spotkaniach z Leninem, o walkach z białogwardyjskimi bandami w latach wojny domowej. Od 1918 był członkiem partii i zajmował odpowiedzialne stanowiska państwowe w sowieckim Kazachstanie. Czyż mogłam wtedy przypuścić, że imię Sakiena Sejfullina, człowieka, którego widziałam dwa razy w życiu, zostanie w fatalny sposób wplecione w mój los i że w akcie oskarżenia przeciw mnie nasze nazwiska znajdują się tuż obok? Ale czyjaś szatańska wola już splatała dla nas sieć...

Zbliżał się dzień dwudziesty szósty lipca, data, która niczym trzęsienie ziemi, albo wybuch wulkanu, zmiotła bez reszty moje dotychczasowe życie.

Pamiętam, we wczesnej młodości, na jakimś przypadkowym postoju podczas pochodów wojny domowej, trafił mi do rąk stary foliał, a w nim pierwszorzędne ryciny. Na jednej z nich...

... tak właśnie... po wichrze, który... moja dusza w nocy z 26 na 27 lipca 1936 roku...

Poprzedni dzień zaczął się spokojnie i radośnie. Nic nie zapowiadało nieszczęścia. Nieszkodliwie huczały

trzmiele, krążyły komary i ważki. Nad kwiatami, które znużył upał, przelatywały jaskrawe motyle. Moja starsza córka, Zoria, i jej przyjaciółka, Gala, która była u nas w gościnie, czekały wieczoru, żeby zająć się znowu przesadzaniem rozsady truskawek, — obliczaliśmy jaki może być zbiór. Snułyśmy plany na przyszłość, absolutnie pewne, że nadchodzą szczęśliwe lata.

Nastąpił zmierzch, potem wieczór. Otworzyły się powoje, delikatne i barwne jak tęcza. Dziewczynki przyniosły patefon i nad lasem, zadziwiając słowiki, zadzwieczał głos Lemieszewa:

*„Powiedźcie, dziewczęta, waszej przyjaciółce...”*

To była najbardziej ulubiona, śpiewana powszechnie piosenka owych lat. Moja matka, natychmiast po przyjeździe z miasta, zajęła się dziećmi i domowym gospodarstwem.

Rewolucjonistka od młodości, niejednokrotnie prześiadująca w carskim więzieniu, uczestniczka wojny domowej, czekistka za życia Dzierżyńskiego, partyjna, sowiecka działaczka, uważała za odpoczynek, gdy mogła swoim wnuczkom czytać bajki braci Grimmów, albo pokręcić się po kuchni, pichcąc ulubione polskie potrawy.

Moja młodsza córka, Łana, miała prawie dwa lata. Do dnia jej urodzin pozostawało zaledwie kilka dni i naradzałyśmy się z przejęciem, jakby w sposób najbardziej wesoły przygotować zbliżającą się uroczystość. Dziewczynki organizowały jakieś koncertowe numery. Część poczęstunku już była przygotowana i znajdowała się w piwnicy.

Gdy rozmowa mnie znudziła, poszłam do swego pokoju, wzięłam „Rycerza w tygryziej skórze” i przeniosłam się myślą do czarującej Gruzji Rustawelego. Dzieci poszły spać. Cisza zaległa w całym domu. Przerwywając od czasu do czasu lekturę, wsłuchiwałam się w ciszę, zaniepokojona, że mąż nie wrócił dotąd z pracy, chociaż godzina już taka późna. I nagle, około dwunastej w nocy, przed dom zajechało kilka samochodów.



„Goście o tej godzinie?” — zdążyłam pomyśleć, otwierając drzwi. Na progu stało dziesięć osób w mundurach pracowników NKWD. Wśród nich była kobieta. Pochwyciłam jej przymrużone, kpiące spojrzenie.

Wichr porwał mnie jak ziarenko piasku, podnosząc w górę, lub bezlitośnie ciskając o ziemię.

Rewizja odbywała się w milczeniu. Tylko rozpaczliwie krzyknęła struna fortepianu, gdy ktoś zaczął przeszukiwać dłońią pod wążutkami młoteczkami klawiatury. Ciężko wzdychały deski, tu i tam odrywane od podłogi, trzasnęło i posypało się szkło ze zdjętego ze ściany portretu. W drzwiach stały Zoria i Gala, w długich nocnych koszulinkach. W ich oczach widniał strach, zdumienie, ciekawość.

Twarz matki była tak samo surowa, skupiona i rozbijającą spokojna, jak wtedy, gdy w wojskowym wagonie pochylała się nade mną, umierającą na płamisty tyfus.

Minęło tyle czasu, znowu przedzieram się przez gęstwą lat, które odeszły. Powracają dawne wrażenia, znowu zapalają się zgasłe uczucia i myśli.

Kiedy studiowałam historię Wielkiej Rewolucji Francuskiej, niejednokrotnie zastanawiałam się nad tym, dlaczego wodzowie różnych partii w Konwencie, tacy jak Brissaut, Danton, Robespierre i setki innych wybitnych i szeregowych rewolucjonistów, wszyscy szli jakby z zawiązanymi oczami ku gilotynie. Raz jeden tylko, czytając dziennik jakobina Senarta, znalazłam wyznania, z których wynika, że na długo przed swoją zgubą, przed Termidorem, z mrozącą krew przenikliwością przewidział swoją przyszłość. Pozostali, niczym żołnierze w gorącym starciu, byli zaślepieni słusznością sprawy, której się poświęcili i dlatego duchowo bezbronni. Najwidoczniej, nigdzie osłepiające nasilenie namiętności nie osiąga takiego stopnia jak w polityce. Ani moja rodzina ani ja także nigdy nie myśleliśmy o tym, co nas oczekiwało.

Rewizja dobiegła końca. Mąż został aresztowany na

mieście, mnie tym razem jeszcze nie zabrano. Świtało, gdy samochody odjechały. Drzwi domu pozostały otwarte na oścież.

Duchowy paraliż minął, poczułam że żyję, gdy opadły mnie potworne dreszcze. Matka otuliła mnie pledem, potem kołdrą i zaczęła przygotowywać herbatę. I właśnie wtedy podeszła do nas tęga, o purpurowych policzkach niańka mojej młodszej córki. Wyjęła z ust kilka szpilek, przymocowała nimi na czubku głowy rzadkie pasmo siwiejących włosów i powiedziała skrzypiącym głosem, uśmiechając się bezczelnie i wieloznacznie:

— Proszę mi zapłacić za urlop, bo to, kto wie, może jutro i was zabiorą, a któż mi wtedy należne zapłaci...?

Nie od razu ją zrozumiałam, ale matka pośpiesznie otworzyła torebkę i wręczyła żądane pieniądze. Za oknem rozległ się przeciągły krzyk puhacza. Niańka przeliczyła czerwonce... dodała złowieszczo:

— Ot, sowa także przywołuje na was nieszczęście. To już tak — jak raz się zaczniesz, otwieraj wrota jak najszerzej.

Tak zaczął się poranek innego życia. Potężna potrzeba działania, która wyparła apatię, porwała mnie i popędziła.

Nasz dom, taki zaciszny, wygodny, doskonale urządzony, budził we mnie odtąd jedynie przerażenie. „Precz stąd, precz! Trzeba coś przedsięwziąć, wyjaśnić, dowiedzieć się, co się stało”. Tak myśląc, przypominałam sobie, że przecież aż do ostatnich dni Stalin faworyzował mego męża. Czyżbym czegoś nie wiedziała, czyżby mnie oszukano? Aresztowanie mego męża mogło nastąpić jedynie na podstawie niezbitych dowodów winy. Ale przecież w ciągu jedenastu lat naszego wspólnego życia nie tylko nigdy nie wdrażano przeciw niemu żadnego partyjnego dochodzenia, lecz stale był członkiem albo kandydatem na członka Centralnego Komitetu i ani razu nie znalazł się poza tym kierowniczym organizmem.

„Cóż on uczynił? — zastanawiałam się w udręce.  
— Jak śmiał skazać całą rodzinę na taką hańbę?”

Zacinałam się w gniewie przeciw temu, którego uważałam za przyczynę nieszczęść walących się na mnie i na moje dzieci, i postanowiłam udać się do jednego z przyjaciół i prosić, żeby nam poradził, co robić, jak się zachowywać.

Matka i starsza córka nie chciały puścić mnie samej, więc wybrałyśmy się w trójkę, odeszłyśmy od tego domu, który wydawał się nam przeklęty, żeby nigdy już nie powrócić. Ledwie wyszłyśmy z bramy, jakiś typ w długich butach i cyklistówce oderwał się od płotu i ruszył naszym śladem.

Pociąg dowiózł nas do stacji Odincowo, ale do osiedla Gorki, które było celem naszej podróży, brakowało jeszcze dwadzieścia kilometrów.

Stojąc na skraju drogi, na próżno zwracaliśmy się do szoferów przejeżdżających samochodów, żeby nas podwieźli do domu Antipowa. I nagle ten sam jegomość w cyklistówce, który nie odstępował nas na krok, grzecznie uklonił się i zaproponował, żebyśmy skorzystały z „fordzika”, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd.

Rozpływając się w wyrazach wdzięczności, skorzystałyśmy z samochodu, nie zdając sobie nawet sprawy, kto go nam podsunął.

Byłyśmy od tego dnia nie tylko pod ścisłą inwigilacją, lecz w ogóle byłyśmy jak zadżumione. Każdy kontakt z nami przynosił zgubę. Wiejski dom Antipowa stanowił ostatnią oazę na drodze ku tej pustyni, na której miałam przebywać przez następne dwadzieścia lat. Wszystko w tym domu oddychało spokojem i dobrobytem. Złote rybki w ozdobnym akwarium, damski puszysty szlafroczek różowego koloru, schnący na słońcu po porannej kąpeli w rzece-Moskwie, płynącej tuż pod urwiskiem, bławatki w pięknie wypalonym, glinianym dzbanku — wszystkie te szczególności szczęśliwego życia utrwaliły się w mojej pamięci na zawsze. Antipow nie potrafił ukryć zdenerwo-

wania, kiedy ujrzał trzy żałosne, przygniecione ciężką troską przedstawicielki trzech pokoleń, ponuro oczekujące go na werandzie.

— Gala, to ciebie naturalnie nie dotyczy. To jest sprawa czysto polityczna, więc kobiety i dzieci nie mają z tym nic wspólnego. Żyćcie sobie zdrowo. Pisz książki w dalszym ciągu i zapamiętaj dobrze, że u nas pomyłki w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości nie istnieją. Całe twoje życie od dzieciństwa leży jak na dłoni. Partia nigdy się nie myli. — Wszystko to powiedział w niezwykle szybkim tempie.

— Tak, partia nigdy się nie myli — powiedziałam ochryplym głosem. — Potworny wstrząs pozbawił mnie głosu. Usta mi wyschły, spazm tamował dech. Kręciło się w głowie. Nagle wydało mi się, że niebo stało się czerwone, potem szerniało. Zemdlałam i zwałam się na ziemię. Poczułam takie same mdłości, jak przy zakładaniu na twarz maski, przesyconej chloroformem. Kiedy odzyskałam przytomność, zobaczyłam stojącego za moją matką Nikołaja Kiriłłowicza Antipowa. W jego niewielkich czarnych oczach, zazwyczaj tak żywych, odbijało się nie tylko współczucie, lecz również przerażenie. Co też w owej chwili zrozumiał, co potrafił przewidzieć lub przeczuć?

Dokładnie po roku Antipowa aresztowano razem z Czubariem, Postyszewym, Kosiosem. Wkrótce został zamordowany.

Zanim wróciłam do naszego mieszkania w mieście, pojechałam do Związku Pisarzy, żeby poinformować kolegów wspólnej pracy o mojej tragedii.

Sekretarzem partyjnego komitetu był Iwan Aleksandrowicz Marczenko. Syn rosyjskiego arystokraty i zamożnej szwajcarskiej Francuzki, otrzymał staranne wychowanie, znał doskonale obce języki, posiadał wszechstronne wykształcenie. Wysoki, wypielęgnowany blondyn anglosaskiego typu, cieszył wzrok swoim męskim wyglądem. Czystość duchowa, wielka kultura, opanowanie i

życzliwy stosunek do innych zyskały mu autorytet, konieczny w skomplikowanym i niezmiernie przeczulonym środowisku literackim. Bez trudu likwidował różne konflikty, przecinał obmowy i plotki, skłaniał do szczerości. Łączyła mnie z Marczenko trwała przyjaźń, często bywał w naszym domu.

Kiedy weszłam do partyjnego Komitetu, który mieścił się w starym pałacyku w głębi podwórza przy ulicy Worowskiego, Marczenko pisał jakieś sprawozdanie. Nie podnosząc głowy, rzucił mi na spotkanie jakiś wesoły żart, ale gdy spojrział, zaciął się, z pośpiechem odłożył pióro i papiery. Zamknęłam drzwi, opowiedziałam wszystko, co się stało, i patrząc mu w oczy postawiłam pytanie:

— Jestem członkiem partii — jak powinnam się zachować?

Przestraszony Marczenko gryzł wargi, pocierał dłonią wysokie, jasne czoło i, przeskakując spojrzeniem z jednego przedmiotu na drugi, milczał przez dłuższy czas. Na twarz występowały mu czerwone plamy, a zaraz potem pokrywała się siną bladością.

— Dopóki jeszcze czas — zaczęłam błagać, opanowana przez najgorsze przeczucia — w imię naszej przyjaźni, błagam, pomóż mi. Tu w tej szufladzie masz rewolwer. Daj mi go. Powinnam umrzeć. Jestem absolutnie niewinna, ale mi nie uwierz. Nie chcę, nie jestem w stanie żyć!

Zawsze nienawidziłam i wyśmiewałam patos, egzaltację i pozerstwo, ale te słowa były prawdziwe, istotne, wyrwały się prosto z serca. Jak gdybym zajrzała do tej przepaści, nad którą stałam ze związanymi rękami.

Marczenko zerwał się, zamknął szufladę na klucz. Ręce mu drżały.

— Nie masz prawa myśleć o śmierci. Wtedy wszyscy by powiedzieli, żeś się przestraszyła, że jesteś zaplątana w jakieś przestępstwo. Musisz udowodnić, że jesteś czysta wobec partii. Pomożemy ci. Znam ciebie i wierzę, że

jesteś niewinna. Nie możemy dopuścić, żeby sądzono ludzi oddanych partii. Nie, i jeszcze raz nie! Na twojej partyjnej działalności nie ma ani jednej plamki. Pomyśl, zastanów się, za co mają ciebie skazywać? Za co?

Kiedy wychodziłam z partyjnego komitetu, słyszałam, jak Marczenko nerwowo chodził po gabinecie, ciągle pytając: „Za co?”

W małym mieszkanku przy Kamarnickim zaułku zastałam wszystko w ruinie. Pokój męża był opieczętowany. Albumy, zawierające zdjęcia moich dzieci, poczynając od niemowlęctwa, część korespondencji, niektóre moje rękopisy zostały zabrane. Znikły posiadające olbrzymią wartość historyczną listy Gorkiego, Pokrowskiego, Shawa, Furmanowa, Babla i wielu innych znakomitych osób.

Obecnie nikt do nas nie telefonował i nikt nie zatrzymywał się przed naszymi drzwiami. Stałyśmy się trędowate. Matka wystarała się w końcu o urlop i zamieszkała razem ze mną. Zajęła się gospodarstwem i dziećmi, nie zdradzała niczym swoich uczuć; była spokojna jak z kamienia. W wielkich oczach, jasno brązowych ze złocistym odbłyskiem, taίło się surowe pytanie, wargi zaciskały się tak, jak gdyby powstrzymując jęk boleści. Ale jęk nigdy z jej ust się nie wymknął i nie było łez w jej szeroko rozwartych oczach.

Uwydatniło się jeszcze bardziej podobieństwo matki do wielkiej rosyjskiej tragiczki, Wiery Komissarzewskiej. Te dwie kobiety tak były do siebie fizycznie podobne, że kiedyś matka podarowała mi fotografię Komissarzewskiej, udając że to jej własna. Ani ja, ani nikt inny nie spostrzegł się, że to nie jej zdjęcie, dopóki ona sama nam tego nie powiedziała.

W ciągu tego krótkiego czasu, zanim nas rozłączono, matka stanowiła moją jedyną podniecie do życia i walki.

Co dnia trzeba było zdobywać się na coraz większą siłę duchową. W prasie zjawiały się szcujące mnie artykuły. Ludzie unikali mnie, jak gdybym była zadzumiona. Ktoś z otoczenia Stalina — wpływowy redaktor — sko-

rzyszał z okazji, żeby załatwić ze mną porachunki osobiste wykorzystując śmiercią grożące oszczerstwo, niebezpiecz-  
ne jak żądło żmiji i obliczone na moją zgubę.

Spotkaliśmy się dawno, w roku 1920, pod Salkowem, w dniu, w którym nastąpił desant białogwardyjskiego generała Słazczewa. Miałam wtedy piętnaście lat, byłam polityczną agitatorką z głową ogoloną po plamistym tyfusie, w skórzanej kurtce, spodniach i wysokich butach, z browningiem u pasa, zaś ów redaktor był komisarzem łączności. Uratowałam się cudem, komisarz został ciężko ranny. Po dwunastu latach los zetknął nas w redakcji dziennika.

— Na twoją cześć nazwałam wtedy moją kobyłę Gałą — powiedział mi wielmożny redaktor, podkreślając swój życzliwy do mnie stosunek. Ale już w roku 1936 był to rozwydrzony pyszałek bez sumienia i serca, rozpustnik, niepowstrzymany w swoich żądzach.

Kiedy doszło między nami do starcia, oświadczył z wściekłością:

— Jeszcze mnie popamiętasz i będziesz gorzko płakała! — Rozwścieczony głos towarzyszył tej groźbie.

Po aresztowaniu męża nasz dom był stale otoczony przez agentów w cywilnych ubraniach. Mieszkałyśmy jak w oblężonej fortecy. Ale nikt się do nas nie zbliżał. W niekończące się, długie noce wyglądając przez okno, zawsze widziałam na rogu mały czarny samochód, gotowy jechać moim śladem, gdy tylko wychodziłam z domu. Dwóch agentów, na zmianę, stale spacerowało przed bramą.

Piątego sierpnia udałam się razem z Zorią do rejonowego komitetu przy ulicy Czerwona Prieśnia. Ledwie skręciłyśmy w Nowinskij bulwar, natychmiast pojechał za nami czarny „fordzik”. W ciągu ostatnich kilku dni dobrze poznaliśmy tych, którzy nas śledzili.

Już od dwóch miesięcy na Moskwę nie spadła ani jedna kropla deszczu. Asfalt był miękki jak ciasto.

Kiedyśmy weszły do rejonowego komitetu, kazałam

usiąść córce na krześle w korytarzu i weszłam do gabinetu, gdzie już zebrało się całe biuro. Dwadzieścia osób, z których prawie wszystkich od dawna dobrze znałam, patrzyło na mnie ponuro. Wstąpiłam na stos.

— Proszę nam opowiedzieć o kontrrewolucyjnej działalności męża i o tym, jakieście mu dopomagali. — Słowa te, które później powtarzały się przez dwadzieścia lat z rządu, po raz pierwszy uderzyły w serce jak nóż. Cóż mogłam odpowiedzieć? Przecież mój mąż, odkąd go poznałam, nigdy nie występował przeciw rewolucji, którą z narażeniem życia przygotowywał od roku 1905, gdy wstąpił do partii bolszewików. Byłam tego pewna. Ale czy wiedziałam wszystko? Opanowały mnie dręczące wątpliwości.

W kącie pokoju zobaczyłam dobrze znanego mi pisarza. Miał na ustach okrutny uśmiech.

— Tak, bywałem często u Sieriebriakowej i wiele rzeczy mnie tam dziwiło a nawet wydawało się podejrzone — powiedział głośno i oparł się dłońmi o szeroko rozstawione kolana. Mimowoli przypomniałam sobie treść jakichś dwudziestu listów, znajdujących się w szufladzie mego biurka, listów, w których ów pisarz słodkowo wyrażał swoje największe poważanie i oddanie właśnie pod adresem mego męża. Opanowało mnie uczucie najpierw obrzydzenia, a potem całkowitej obojętności.

Marczenko był również obecny. Siedział i dłońią przesłaniał oczy. Sekretarz rejonowego komitetu, Siemuszkin, zwrócił się do niego:

— Czy to prawda, żeście odwiedzali Sieriebriakowych?

— Tak — wymamrotał Marczenko, nie podnosząc oczu.

— Wobec tego wiecie, że łączyła ją z mężem nie miłość — jakąż tam miłość, przecież on jest od niej starszy o dwadzieścia lat — lecz wspólność kontrrewolucyjnych poglądów i podziemna działalność antysowiecka — podsumował sprawę sekretarz rejonowego komitetu. Zerwa-



łam się z miejsca, przypomniałam, że po powrocie do Moskwy, prosto z frontu, przez piętnaście lat należałam do partyjnych organizacji Czerwonej Priesni. W tych organizacjach dojrzałam, zostałam pisarką. Prawie wszyscy ci, co siedzą teraz za tym sędziowskim stołem, nakrytym czerwonym suknem, znali mnie, wierzyli mi, a teraz oskarżają bez żadnych ku temu podstaw. Ale nie pozwolono mi mówić dalej. Sprawa była przesądzona. Usunięto mnie z partii za utratę czujności i związek z wrogiem ludu.

Katastrofa całego życia. Żona wroga ludu. Wędrowałam do domu wraz z Zorią, mocno trzymając się za ręce, jak gdyby mieli nas zaraz rozłączyć na zawsze. Snujący się tłum nie pozwalał nam iść szybciej. Nikogo nie obchodził dramat, który rozegrał się przed chwilą. Czarny fordzik jechał za nami w tym samym tempie i dwaj agenci patrzyli uważnie, jak gdybyśmy były w stanie zapaść się pod ziemię, albo ulecieć ku niebu. Po powrocie matka nie zadawała mi żadnych pytań.

I tak zaczęła się tortura niepewności. Bezsensowne, nieustanne wyczekiwanie na „czarnego kruka”, który nareszcie mnie zabierze, bezgraniczna rozpacz doprowadzały mnie do szaleństwa. Miotając się w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia, napisałam listy do Stalina i Jeżowa.

Przyznawałam, że jeżeli partia poświęciła takiego człowieka jak mój mąż, to widocznie, były ku temu jakieś poważne podstawy, ale że ja osobiście nigdy nie zauważyłam żadnego podejrzanego, antypartyjnego postępowania. Do partii wstąpiłam na froncie, jako czternastoletni podłotek, droga moja była zawsze prosta i bez żadnej skazy. Poświęciłam się pracy literackiej i w ciągu ośmiu lat wydałam kilka książek, które spotkały się z przychylną oceną. Co mam teraz robić? Cięć klątwy politycznej padł także i na mnie...

Przez dziesięć dni nie było odpowiedzi. W tym czasie zaczął się i skończył sąd nad Kamieniewym, Zinowiewym i innymi. Piatakow zażądał kary śmierci przez

rozstrzelanie dla „wściekłych psów”, jak ich nazywał. Wyrok został wykonany. Następnego dnia odbył się pokaz lotniczy, na którym zjawił się Stalin.

Siedząc na parapecie okna, nie odrywałam wzroku, jak zaczarowana, od czarnego fordzika, stojącego przed naszą bramą, wstrząsał mną każdy przypadkowy dzwonek, życzyłam sobie, żeby mnie jak najszybciej aresztowano. Taka niepewność jest gorsza od śmierci.

Któregoś dnia, gdy pogrążyłam się w stanie absolutnej bezmyślności — krótka ucieczka od rozpacz — odezwał się telefon. Odzwyczytałam się od jego głosu. Tkwiłyśmy w samotności, w ciszy. Trzęsłyśmy ze strachu, słysząc dziecinny śmiech, głośne głosy ludzi.

— Galina Josifowna? — zapytał nieznajomy głos w słuchawce. — Tu mówi Agranow. Wyście przecież wysłali listy do Stalina i Jeżowa. Polecono mi odbyć z wami rozmowę. Dziś jeszcze o dziesiątej wieczorem proszę stawić się na rogu Spaso-Pieskowskiego placu i Trubnikowskiego zaułka. Tam będzie czekał samochód. Pojedźcie do kierowcy i powiecie, że wasze nazwisko — Siemionowa. A tam, dokąd was zawiozą, też macie się zgłosić jako Siemionowa. Zrozumiałe?

I tak oto przez ten mrok, w którym trwałam bez snu i prawie bez pożywienia, przedarł się nikły promień światła.

O wyznaczonej godzinie zbliżyłam się do oczekującego mnie samochodu i wymieniłam nazwisko Siemionowej. Nie mówiąc ani słowa, szofer otworzył drzwiczki. Zajechaliśmy na Łubiankę, wóz zatrzymał się przy jednej z bram wjazdowych w zaułku. Weszłam. Już na mnie czekano. Winda wjechała wysoko. Wydawało się, że wydarzenia rozwijają się z błyskawiczną szybkością, ale... przesiedziałam w poczekalni całe pięć godzin i dopiero późną nocą sekretarz zawołał mnie do jednej z trzech szaf znajdujących się przy ścianie. Weszłam i znalazłam się w olbrzymim, jaskrawo oświetlonym pokoju. Za stołem zastawionym paterami z ciastkami i owocami, siedzieli

Agranow i Jagoda. Obydwaj powitali mnie udanym przyjaznym uśmiechem. Podeszłam do nich i usiadłam w miękkim fotelu. Z nieszczerą troskliwością Agranow zaczął wypytywać mnie o moje sprawy życiowe. Tegoż dnia w „Izwestjach” i „Gazecie Literackiej” znowu ukazały się oszczercze artykuły, oskarżające mnie o niesamowite zbrodnie.

— Pragniemy was uratować od straszliwej katastrofy, która jest nie do uniknięcia. Jesteście młoda, utalentowana — Agranow zaczął mnie wychwalać, żeby podkreślić, jak wiele mam do stracenia i jak pomyślnie ułożyłoby się moje życie, gdyby...

— Co mam zrobić? — przerwałam jego wywody.

— Opowiedzieć wszystko.

— Ale przecież w tym, co mam do opowiedzenia, nie ma nawet śladu czyjejkolwiek winy, gdyż w przeciwnym wypadku sama bym już dawno doniosła o tym partii. Ludzie w moim otoczeniu byli zawsze i w słowach i w czynach sowieckimi, partyjnymi ludźmi.

— Oszukiwano was.

— Kto wie, może istotnie tak było. Ale ja tego nie dostrzegałam. Cóż mogłam wiedzieć, przebywając w zamkniętym środowisku literackim, zajęta pisaniem moich książek?

— Proszę nam opowiedzieć o sobie, o życiu waszej rodziny.

Przez cztery godziny opowiadałam samą prawdę, w której nie było nic kompromitującego. Od czasu do czasu Jagoda albo Agranow przerywali mi, popisując się znajomością szczegółów, opuszczonych przeze mnie. Najwidoczniej, nasz dom znajdował się już od dawna pod ścisłą inwigilacją. Tym lepiej — przecież życie moje i moich najbliższych zbijało wszelkie podejrzenia.

O świtaniu pozwolono mi wyjść. To samo powtórzyło się wieczorem następnego i trzeciego dnia.

— Mimo wszystko — powiedział Agranow trzeciej nocy — mówicie nieprawdę, ukrywacie najważniejsze.

— Nie, nie! — krzyknęłam. Moje siły były już na wykończeniu. Codziennie o dziesiątej godzinie samochód zawoził mnie na Łubiankę. O drugiej albo trzeciej w nocy, po wyczerpującym wyczekiwaniu, wpuszczano mnie przez drzwi w szafie do olbrzymiego gabinetu. Dopiero o piątej albo szóstej nad ranem odwożono mnie do mieszkania, ostatecznie wyżyłowaną krzyżowym ogniem pytań, który starano się osłodzić czekoladą i owocami, chociaż w ogóle ich nie tykałam.

— To jest łgarstwo — krzyczał do mnie Agranow.

— Zmyśłone! — wtórował mu Jagoda.

Tym razem otworzyły się drzwi i wszedł sekretarz Centralnego Komitetu, Jeżow. Jego malutki wzrost i twarz starego karzełka wprawiły mnie w przerażenie.

— Ciągle jeszcze nie chce wam ułatwić zadania? — zapytał Jeżow, uśmiechając się, co jeszcze bardziej pomarszczyło i wykrzywiło jego twarz.

— Trzeba wobec tego dojść do jakiegoś podsumowania — kontynuował Agranow. — Najważniejszych rzeczy jednak nam nie powiedzieliście. W grudniu 1934 roku, po zabójstwie Kirowa, sześcioro korytarzem w waszym mieszkaniu i zatrzymaliście się przy drzwiach gabinetu waszego męża. I usłyszeliście, że wasz ojciec...

— Ależ za pozwoleniem — zaczęłam krzyżeć — mego ojca wtedy nie było w Moskwie i przez całą zimę ani razu, słyszycie, ani razu u nas nie był...

— Proszę nie przerywać. Jak sobie wszystko przypomnieć, to potwierdzicie. Wasz ojciec mówił: „Sprzątnęliśmy Kirowa, obecnie czas zabrać się do Stalina”.

— Kłamstwo! — zawołałam, nie panując już nad własnym oburzeniem. — Rozumiem, widocznie chcecie sprawdzić, czy mówię prawdę, czy można mi wierzyć. Bo przecież wicie doskonale, że to się nigdy nie zdarzyło.

Trzy pary oczu patrzyły na mnie wymagającym, przenikliwym spojrzeniem.

— Nie i jeszcze raz nie! Jestem komunistką i nigdy, słyszycie, nigdy nie poświadczę kłamstwu. Lepsza śmierć.

— Proszę zrozumieć — powiedział łagodnie Jezow. — Jesteście pisarką i chcemy was uratować. Znajdujecie się na skraju przepaści. Złóżcie szczerze zeznania i unikniecie aresztowania. Za kilka miesięcy powrócicie do partii i działalności literackiej. Będziecie mogli ponownie wyjść za mąż, znajdziecie szczęście. Wasze dzieci wyrosną w ludzkich warunkach.

W dalszym ciągu upierałam się przy prawdzie, której nie chcieli uznać.

— Proszę pomyśleć nad tym do jutrzejszego wieczoru.

Któregoś dnia przyniesiono mi list od męża. Po rozwinięciu złożonej na czworo kartki, początkowo zwróciłam list, pewna, że nie poznałam charakteru pisma. Nieznane mi, dziecinne pismo. A jednak to pisał mój mąż. Te litery. Pamiętam jedynie początek: „Gala, ja już nie wrócę. Powinnaś zastanowić się, jak teraz urządzić się w życiu”. Przeczytałam list trzy razy i zrozumiałam, że to pożegnanie na zawsze. Funkcjonariusz NKWD zażądał mego podpisu na odwrotnej stronie, pod słowem „przeczytałam” i zabrał list ze sobą.

Po każdym nocnym badaniu wracałam do domu rozbita fizycznie i duchowo i natychmiast opowiadałam mojej matce o wszystkim, co się działo w ogromnym gabinecie na jednym z górnych pięter Łubianki.

Matka odpowiedziała mi twardo:

— Lepsza śmierć niż fałsz. To jest szatański plan. Chcą z ciebie zrobić sprzedajną zbrodniarkę. Jakże można żyć po zdradzeniu własnej duszy, po złożeniu fałszywego świadectwa. Nie i jeszcze raz nie!

Przypomniałam sobie wtedy słowa Victora Hugo: „Można stracić wszystko na świecie, ale nie stracić samego siebie”. Matka, która osiwiiała z rozpacz, gładziła mnie po głowie i powtarzała:

— Kłamstwo jest jak bagno — wciągnie cię i zgubi. Ostatecznie, śmierć to nie jest najgorsze, co nas może spotkać w życiu.

Przyciskałam policzek do matczynej ręki, postarzałej już, zwiotczałej, a tak bardzo kochanej, odpowiadałam:

— Śmierć może być niekiedy wybawieniem.

— Wszystko co chcesz, byle nie rzucać oszczerstwa na innych i na samą siebie.

W imię prawdy moja matka była zawsze gotowa złożyć w ofierze nie tylko własne życie, ale również życie jedynej ukochanej córki i od samego dzieciństwa wpajała we mnie, że fałsz rodzi się z tchórzostwa, podłości i zdrady.

Na czwarty dzień włożyłam do walizeczki trochę bieleziny, kawałek mydła, szczoteczkę do zębów, i w milczeniu, nie ukrywając łez, pożegnałam się z matką i dziećmi. I znowu — czarny samochód na rogu zaułka, nazwisko „Siemionowa” lakonicznie rzucone w noc, ciemna winda poderwana ku górze jak wiadro w studni.

Po wejściu do Agranowa postawiłam walizeczkę przy stopach i zażądałam:

— Aresztujcie mnie!

Agranow wybuchnął śmiechem. Był to kanciasty brunet, rozlazły, o zielonkawej twarzy, z gęstą siatką zmarszczek przy czarnych oczach, złych i na poły szaleńczych, o niezwykle długich i grubych wargach, których kąciki opadały, jak u buldoga ku podbródkowi, nadając całemu obliczu wyraz przesyty i okrucieństwa.

— Nie, na razie jeszcze was nie zabierzemy. Zmusimy was do przyznania się do wszystkiego. My to potrafiemy. Ugrzęźliście aż po szyję w przestępstwie, ale wśród takich jak wy niszczymy nie wszystkich. Możecie być użyteczni także pod innym względem.

— Po co? Dla prowokacji, dla składania fałszywych zeznań? Cokolwiek byście powiedzieli, nie poczuwam się do żadnej winy wobec partii i kraju, i nigdy nie zgodzę się na kłamstwo.

— To są frazesy. Opowiedzcie wszystko, co wiecie o Antipowie. On przecież niejednokrotnie zwierzał się

wam ze swoich występnych zamiarów, wymierzonych przeciw sowiekiemu ludowi i przeciw Stalinowi.

Zdrętwiałam. Antipow — ludowy komisarz, członek Centralnego Komitetu! Przypomniałam spokój i dobrobyt panujące w jego domu.

— Antipow? Przecież cieszy się całkowitym zaufaniem, znajduje się na wolności — powiedziałam, cała wstrząsana dreszczem.

— Nie każdy z tych, co znajdują się na wolności, jest prawdziwie wolny; wielu z nich już siedzi u nas, nawet tego nie podejrzewając.

Uśmiech szaleńca rozchylił jego wargi, które nadal opadały ku podbródkowi.

— Opowiedzcie nam o Antipowie i Karpowie. Ci zakamieniali wrogowie ludu dzielili się przecież z wami swymi najbardziej ukrytymi planami...

Poczułam, że cała krew odpłynęła od serca i uderza do mózgu.

— Wiktor Karpow jest człowiekiem całkowicie oddanym partii, a przy tym przecież swego czasu był czeki-  
stą.

— A jednak... Galina Josifowna, proszę zdobyć się na rozsądek. Miejcie wzgląd na samą siebie i na waszą rodzinę. Zginiecie w straszliwych męczarniach. A przecież możecie nadal żyć i pracować. Ale warunek wstępny — żeby zasłużyć na nasze zaufanie, musicie potwierdzić to wszystko, coście słyszeli w dniu 10 grudnia 1934 roku, gdyście stali pod drzwiami gabinetu — chodzi o rozmowę waszego ojca i męża na temat przygotowywania terrorystycznego zamachu przeciw Stalinowi. A następnie macie podpisać to wszystko, co wam opowiedziano o Antipowie i Karpowie...

Wpadłam we wściekłość.

— To, coście powiedzieli o tych ludziach, to fałsz. Rozumiem — chcecie oszukać Stalina i Centralny Komitet przy pomocy podrobionych dokumentów. To jest spis-  
sek. Ale ja nigdy nie stanę się prowokatką, ani tu

u was, ani w Gestapo, gdybym się tam znalazła. Jestem komunistką, a wy komunistą nie jesteście. Wobec tego aresztujcie mnie. Aresztujcie jak najszybciej!

Agronow powiedział znacząco:

— Jutro o dziesiątej czekać będę na was po raz ostatni. Zreflektujcie się! Jeżeli będziecie się upierać, zginiecie. Nie domyślcie się, co my z wami możemy zrobić. Jesteście już poza prawem, społeczeństwo wyrzuciło was za burtę. Wasz mąż jest wrogiem ludu. Zrozumieście?!

Milczący szofer zatrzymał samochód na rogu Spaso-Pieskowskiego placyku. To było 7 września 1936 roku. Zataczając się, szłam do ciemnej kamienicy. Tylko jedno okno, na czwartym piętrze było zielonkawo oświetlone. Wiedziałam, że to czeka na mnie moja matka, siedząc przy łóżku śpiącej Zori. Wydawało mi się, że schody nigdy się nie skończą, i wszędzie przywidywały się wykrzywione pyski z okropnymi wargami opadającymi ku podbródkowi. W uszach dźwięczał ostry falset Jeżowa, znudzony, przygaszony głos Jagody i głuchy, natarczywy, nieco sepleniący głos Agranowa. Skradało się, stopniowo opanowując mózg, szaleństwo. Weszłam, postawiłam na krześle moją błękitną walizczkę. Zoria obudziła się. Sprawozdanie, złożone matce, było krótkie.

— Powinnyśmy umrzeć — mówiłam z uporem. Myśl o śmierci prześladowała mnie, stałam się tak bardzo wymowna, że matka uległa moim argumentom. Starając się oszukać Zorię, zaczęłyśmy zastanawiać się w jaki sposób popełnić samobójstwo. Miałyśmy do dyspozycji zaledwie ten jeden dzień, aż do dziesiątej wieczorem, kiedy na rogu Spaso-Pieskowskiego placyku zjawi się samochód, żeby zabrać Siemionową.

Matka pragnęła dla siebie i dla mnie najlżejszej śmierci — trucizny. Ale skąd ją wziąć? Miałyśmy przyjaciół wśród lekarzy. Matka wciąż jeszcze była członkiem partii, nie polowano jeszcze na nią w jawny sposób. Z rana poszła starać się o truciznę do profesora Kazanskiego, do



mojego starego przyjaciela Zamkowa, męża Wiery Muchinej, do profesora Feldmana, który nas dobrze znał od piętnastu lat. Przez całe przedpołudnie chodziła w poszukiwaniu opium, morfiny lub weronalu. W tym samym czasie pisałam listy do członków rządu, do Centralnego Komitetu. Pisałam je w niesłychanym podnieceniu, zapewniając że jestem absolutnie niewinna, i prosząc o opiekę nad moimi dziećmi. Miały zostać same bez żadnej rodziny.

Przed drugą wróciła matka. Wszędzie spotkała się z odmową. Zamiast ampułek, które przyniosłyby nam wyzwolenie, udzielano jej szczodrze moralnych nauk na temat konieczności życia dalej, znoszenia wszystkiego, przyjmowania losu z pokorą. Cóż miałyśmy robić? Czas upływał. Zaczęłam czytać matce napisane listy i nagle rzuciłam się do okna: wydało mi się, że zza zakrętu wyjechał „czarny kruk” — straszliwa, pozbawiona oczu skrzynia na kołach, która zabrała tylu moich znajomych. Ale to była halucynacja. Na ulicy nie było niemal nikogo, tylko czarny fordzik sterczał, jak zawsze, przed naszym domem i spacerowali znani nam od dawna agenci w cyklistówkach, krótkich paltach i butach z cholewami.

Bałyśmy się, że nie zdążymy na czas. Była już trzecia popołudniu. Kiedy zaproponowałam matce, żeby otworzyć gaz w łazience, otworzyły się drzwi i weszła Zoria. Jej blada twarzyczka, cała w piegach, — zdawało się — pobladła jeszcze bardziej, w szaro-zielonych, ogromnych oczach błyszczała egzaltacja. Tak zapewne wyglądały maleńkie męczennice na arenie rzymskiego Colosseum.

— Podśluchałam wszystko, chcę umrzeć razem z wami. Nie macie prawa zostawiać mnie samej, to byłoby zbyt okrutne. Tak czy owak umrę prędzej czy później. Przecież rozumiem, że znalazłyśmy się poza prawem. Wszyscy nami pogardzają, pomiatają nami. Stanowimy rodzinę wroga ludu.

Mówiła z zapalem, niemal z natchnieniem, z logiką

zupełnie nie dziecinną. Zgodziłam się, opanowana na pół szaleństwem. Matka sprzeciwiała się dłuży czas, aż osłabła i ustąpiła, zarażona widocznie moim chorobliwym, zabójczo ponurym stanem. Postanowiłyśmy, że umrzemy wszystkie trzy, nie czekając co Agranow i Jezow zadecydują o naszym losie.

Matka wyszła z pokoju, a ja zapadłam się w gęsty mrok obsesyjnych myśli. Coraz wyraziściej i natarczywiej zarysowywała się przede mną przepaść, spadamy do niej, a za nami lecą kamienie. Bez przerwy słyszałam, że rozlega się dzwonek przy głównych drzwiach. To przyszli po mnie ludzie w niebieskich czapkach albo w cyklistówkach, w czarnych obcisłych paltach i wysokich butach.

— Jesteście wrogiem ludu, kontrewolucjonistką, szpiegiem i dywersantką.

Dusiłam w sobie krzyk, czepiając się rozpaczliwie resztek uciekającej świadomości. Mózg już mnie nie uspokajał, nie kierował mną, lecz przerażał. Rzuciałam się na wszystkie strony w panicznym lęku, że nie zdążę umrzeć w mieszkaniu, że mnie pochwyć i wywiozą, żeby zamordować daleko od rodziny.

„Żeby tylko zdążyć otworzyć kurek od gazu i otruć się” — marzyłam i włożyłam na parapet, by wpatrywać się w głąb ulicy zalanej jaskrawym słońcem. I nagle przywidziało mi się, że od Spaso-Peskowskiego placyku podjechał czarny samochód, podobny do katafalku. Tak, to on! „Czarny kruk”. Po mnie! Nie, nie poddam się żywcem! Oszukam Agranowa i Jezowa! Uczciwy człowiek nie boi się śmierci.

Był to ostatni przebłysk myśli w chorym mózgu. Okno było zamknięte, ale już tego nie rozumiałam. Z rozpędu, głową naprzód, rzuciłam się w okno. Rozbita szyba cięła mnie w głowę i pokaleczyła twarz. Zoria podbiegła do mnie z rozpaczliwym krzykiem i starała się wyciągnąć mnie z rozwalonej ramy. Jak mi potem opowiadano, zaczęłam dusić nie sprzeciwiającą się dziewczynkę, nie będącą w stanie zrozumieć że jej matka zwariowała.

Czterej sanitariusze, którzy wkrótce przybyli, związali mnie i zawlekli do ambulansu. Zawieziono mnie do psychiatrycznego szpitala, do pawilonu dla furiiatów.

Gdy rozum umiera — osobowość umiera również. Nie było mnie. Minęło półtora miesiąca, zanim odzyskałam rozum. Profesorowie, których NKWD przysyłało codziennie, oświadczyli mojej matce, że ta choroba umysłowa to funkcja obronna przeciw nadmiernemu przeciążeniu mózgu. Świadomość wyłączyła się niczym prąd elektryczny, pod wpływem wstrząsu. Reaktywna depresja to jedna z najbardziej wyraźnie określonych chorób dialektycznych. Rozpacz, przeładowanie psychiki prowokuje wstrząs — szaleństwo. I tu następuje rozładowanie, które przynosi zbawienie.

Pojęcie czasu przestało dla mnie istnieć. Aż nagle w mroczny świat szaleństwa wdarła się błyskawica myśli. Siedziałam pod ścianą na podłodze obok kilku takich samych jak ja, szalonych, zupełnie nagich stworzeń. Najwidoczniej, nieco przedtem podarłam siennik, bo do ciała przyłgnęły, łaskocząc i kłując, żdźbła słomy. Ugniatałam rękami kulki z chleba i rzucałam, celując nimi w wentylator.

Gdy wróciła świadomość, kulki chleba wypadły mi z rąk, poczułam, że zadrapania na ciele sprawiają mi ból, zdałam sobie sprawę ze wszystkiego. W oknach były drewniane kraty. Obnażona kobieta chichotała i pluła. Starucha, której brakowało jedynie kosy, aby mogła z powodzeniem udawać śmierć, kładła na nas znak krzyża, klnąc jednocześnie po matuszce. Dziewczyna o wspaniałym torsie wiła się po podłodze, jak gdyby wykonując jakieś niesamowite ćwiczenia akrobatyczne.

*Nie daj mi, Boże, rozum stracić,  
już lepiej torba i kij żebraczy.*

Niewątpliwie, nikt nie znajdzie właściwych słów, aby

określić rozpacz i przerażenie. W ogóle, brakuje słów, gdy jesteśmy we władzy wielkich namiętności i ciężkich przemyśleń. Nie ma więc również takich słów, które by-łyby w stanie opisać powrót świadomości, utraconej uprzednio. To jak wybuchająca błyskawica, to jak promień słońca po jego zaćmieniu.

W mózgu dzieciennym myśl dojrzewa bardzo powoli, a później wydaje się, żeśmy się już z tą myślą urodzili. Ale postradać rozum i nagle go odzyskać, doświadczając wstydu i przerażenia — to jest przeżycie, którego siła nie znajduje odpowiednika w słowach...

Ledwie odzyskałam świadomość, nieszczęśliwe wariatki poczuły we mnie kogoś obcego. Odzyskany przeze mnie rozum stał się nagłą między nami przegrodą. Z okrzykami wściekłości rzuciły się na mnie, a ja, nawet nie próbując zapanować nad strachem, upokorzona niemożnością zrozumienia tego, co się stało, bezgranicznie nieszczęśliwa, usiłowałam uciekać od przekleństw i ciosów które, sypały się na mnie ze wszystkich stron.

We drzwiach ukazała się pielęgniarka. Skoczyłam ku niej w poszukiwaniu protekcji.

— Jestem normalna, rozumiem wszystko, proszę mnie stąd zabrać!

Chorzy psychicznie niejednokrotnie zapewniają, że są całkowicie zdrowi... Widocznie, w moich oczach pielęgniarka dostrzegła błysk rozumnej myśli, gdyż po kilku minutach zaprowadzono mnie do gabinetu lekarza.

Trzęsąc się i pochlipując, siedziałam przed Olgą Wiktorowną Weis, której później zawdzięczałam całkowite uzdrowienie.

— Proszę się uspokoić — łagodnie dodawała mi otuchy — proszę mi powiedzieć, którego jest dziś? Proszę pomyśleć, nie śpieszyć się...

Odpowiedziałam:

— 7 września.

To był właśnie ten dzień, kiedy zapadłam się w mrok. A to już był koniec października.

Kiedy wymieniałam moje nazwisko, starannie unikałam litery S. Mówiłam, że nazywam się Ieriebriakowa. W ogóle litera S na długi czas wypadła z mojej świadomości. Jak gdybym pragnęła uciec przed samą sobą. Duża człowieka — to przepaść.

Przeniesiono mnie na oddział dla rekonwalescentów, gdzie panowała całkowita, wszystko uspakajająca cisza, spokój, idący od błękitnych ścian i abażurów. Chorzy haftowali, robili szydełkiem, rysowali dziwaczne, skomplikowane ornamenty, żeby wciąż chorej wyobraźni dać jakieś ujście w pracy i namiastce twórczości.

Pozwalano mi spać, a do tego doszła serdeczna opieka lekarzy i pielęgniarek — dzięki temu wyzdrowiałam. Mimo to, długo jeszcze żyłam w jakimś dziwnym, niewyraźnym kraju chorych myśli, często mistycznych, i starałam zatopić się w całkowitej samotności.

Skończył się rok 1936. Przebywałam nadal w Kanatczykowej willi, jak nazywali starzy moskwicze szpital imienia Kaszczenki.

W Hiszpanii toczyła się wojna domowa, krwawa i okrutna. Nasi sowieccy ludzie dokonywali wspaniałych wyczynów, przeprowadzając badania polarne. Wyprawa Papanina w obozie na lodowej wyspie zdobywała dla wiedzy cenne wiadomości, nasze samoloty wytyczały nowe trasy, zadziwiając ludzkość nieosiągalnymi przedtem przelotami nad biegunem. Balet rosyjski wciąż zajmował pierwsze miejsce w świecie i Marynie Siemionowej towarzyszyły nieodmiennie oklaski i kwiaty.

Sztuka i literatura wprowadzały nasz naród w dziedzinę piękna, życie pędziło naprzód bez przerwy — porywające, pełne wydarzeń. Przy moim szpitalnym łóżku, na stoliku, leżały słuchawki radiowe i niekiedy, nie często, zdobywałam się na odwagę, żeby posłuchać jak bije serce świata, i gorzko płakałam z twarzą w poduszce. Tak zapewne czuje się rozbitek, gdy płynie wśród wzburzonych fal na łódce skazanej na zgubę, rozbitek, który

utracił wszystko prócz radiostacji. Ale nie może nadać ani jednego słowa, a tylko odbiera odgłosy dalekiego życia.

Zastanawiałam się nad moim obecnym stanem, pytałam, dlaczego zostałam potępiona i piję ten gorzki puchar, na czym polega moja wina, nieistniejąca wina, i natychmiast szaleństwo przybliżało się i groziło zgaszeniem światła myśli, więc odpędzałam od siebie pytanie, na które nie było odpowiedzi, odpędzałam je samozachowawczym instynktem.

## R O K 1937

Dnia... stycznia... zawsze zaczynała się... terapia pracy. Kobiety... szyły, wyplatały koszyki, rysowały. Po posiłku w wielkiej stołówce o koszarowym wyglądzie, prowadzono nas do ogrodu, otoczonego wysokim płotem. Koło mnie zawsze była jedna z nieodłącznych... czterech pielęgniarek, które miały polecenie nie tylko śledzić każdy mój ruch, ale i zapisywać każde słowo. Nawet kiedy przychodziła moja matka i Zoria, pielęgniarki mnie nie odstępowały. Faktycznie znajdowałam się pod aresztem.

Ósmego stycznia, gdy chorzy już zasypiali, na salę weszła lekarka. Spojrzałam na nią i od razu zrozumiałam, co mnie czeka.

— Przyszli po mnie? — zapytałam krótko.

Po dwóch nawrotach szaleństwa odzyskałam świadomość, ale nikt nie był w stanie stwierdzić, czy jestem już całkowicie wyleczona.

Robiąc mi zastrzyk morfiny, doktorka szepnęła:

— Nie odważą się zabrać was do więzienia, przecież wyleczyliśmy was z takim trudem i jesteście jeszcze niezmiernie osłabiona. Być może, wezmą was tylko na przesłuchanie, a potem puszcza wolno do domu...

Pokiwałam głową przecząco.

W administracyjnym pokoju czekało na mnie czte-

rech mężczyzn w białych kitlach, spod których wyglądały rękawy drelichów, wojskowe spodnie i wysokie buty. Pielęgniarka miała łzy w oczach, gdy mi podawała przyniesione ze składu ciepłe palto, suknię i zmianę bieleziny. Obuwia nie było, oprócz letnich pantofelków bez obcasów.

— Nie ma znaczenia — zełgał jeden z czekających. — Będzie u nas w szpitalu.

Przed drzwiami stał samochód. Zawieziono mnie na Łubiankę, do wewnętrznego więzienia, ale po kilku godzinach, już późną nocą przewieziono na Butyrki.

Tak trwało moje schodzenie do piekieł.

W Butyrkach dwóch dozorców zerwało ze mnie ubranie i rozebraną do naga wepchnęło do celi całkowicie pogrążonej w mroku.

Obmacałam rękami ściany i zrozumiałam, że są obite gumą. Leżałam na podłodze, zziębnięta, nadaremnie szukając sposobu na ogrzanie się. Wkrótce skóra na całym ciele zaczęła swędzić i boleć. Męczyłam się tym bardziej, że brakowało powietrza. Trudno określić jak długo przebywałam w tej gumowej trumnie. Każda godzina wydawała się nieskończona jak wieczność. Nagle otworzyły się drzwi — znalazłam się w zasięgu jaskrawego światła. Czubek wyglancowanego, brązowego buta dotknął moich pleców.

— Ci wrogowie ludu to potrafili sobie dobierać dobre baby — rozległ się nade mną dźwięczny męski głos. Schwycono mnie za ręce i, nie pozwalając podnieść się, zawleczono po kamiennej podłodze do karceru z cementu, pozbawionego światła. Męczarnia stała się ponad ludzkie siły. Pragnęłam nawet najstraszniejszych... i znowu... zapadałam się... jednostajność każdego dnia... Obnażone ciało... kłuła... kostropata podłoga... namacałam rurę od centralnego ogrzewania. Przekręcając się z boku na bok, przyciskałam się do tego jedyne go źródła ciepła.

Po kilku dniach przyszedł potężnie zbudowany, wą-



saty naczelnik więzienia i popatrzył na mnie z grymasem obrzydzenia.

Do tego stopnia byłam pozbawiona sił, że nie mogłam podnieść się i, leżąc, ochrypniętym głosem żądałam by mi wręczono nakaz aresztowania i osadzenia w karczerze. Również żądałam natychmiastowego wezwania na badanie. Naczelnik nie chciał mi powiedzieć, dlaczego tak znącają się nade mną i czym zawiniłam.

— Jestem tylko wykonawcą. Zamelduję, komu trzeba, o waszych skargach — odpowiedział naczelnik, cofając się ku drzwiom i nie patrząc na mnie.

Jednej z tych niezapomnianych nocy promień światła padł na mnie przez otwór judasza i pod drzwiami mojej celi usłyszałam męski krzyk. Zaraz wszystko ucichło, światło zgasło.

Cóż to było? Dobiegała końca druga dekada stycznia. Jak się później dowiedziałam, mój mąż stanął przed sądem, który odbył się pokazowo w Domu Związkowym, 23 stycznia. Czy to właśnie nie jemu pokazano mnie przez judasza, w tym kamiennym worku bez światła i powietrza?

Po ośmiu dniach przyszedł lekarz. Brutalnie przyduślił mnie do podłogi kolanem, przystawił fonendoskop do piersi.

Najwidocznie coś go zaniepokoiło. Po kilku minutach dozorca chwycił mnie za nogi i ręce, wleli do gardła nieco koniaku, zaś lekarz zrobił mi zastrzyk podskórny, prawdopodobnie z kamfory i kofeiny. Po godzinie wrzucili mi do celi materac i grubo tkany, włochaty szlafrok.

Minęły jeszcze dwa dni. Kiedy wyciągnęli mnie z karceru, ledwie mogłam utrzymać się na nogach, światło dnia oślepiało oczy, dotyk ubrania do ciała sprawiał silny ból. Dwóch strażników, podtrzymując z obu stron, zaprowadziło mnie na maleńkie podwórze, otoczone dokoła wysokimi murami. Padał śnieg. Świeże powietrze zatykało mi oddech, ze zdziwieniem przyglądałam się dwóm więźyczkom, obsadzonym przez strażników, przy starej

baszcie, która dotykała ściany dużego gmachu. Szły przy niej do góry żelazne, kręcone schody, łączące balkony na każdym z trzech pięter. Na każdy z tych balkonów wychodziło czworo drzwi. Strażnicy maszerowali rytmicznie od jednego do drugiego judasza. Ulokowano mnie w celi numer 14 na pierwszym piętrze. Ściany ciemnej celi wyłożone były żółtymi kaflami, a sam kształt celi przypominał plasterek pomarańczy. Okienko wąziutkie, jak strzelnica w kazamacie, przesłonięte gęstą kratą, prawie nie przepuszczało światła. Na środku celi stało żelazne łóżko, obciążnięte brezentem, który nieco podnosił się u wezłowania. Żadnej pościeli. W celi było tylko łóżko i kibel. W suficie tkwiła olbrzymia lampa, oświetlająca każdy zakątek, płonąca przez okrągłą dobę. Wydawało się, że przepala mi głowę. Co chwilę w ruchomym judaszu zjawiało się oko strażnika.

W baszcie panowała cmentarna cisza. Chociaż było w niej pełno więźniów, w dzień wydawało się, że nie ma w niej nikogo. Dwa razy dziennie wyprowadzano mnie z celi, trzykrotnie w drzwiach otwierał się lufcik, zwany „karmicielką”: podawano mi chleb, wrzątek, zupę i kaszę. Przez długi czas nie chciałam wychodzić na piętnastominutowy spacer, ale któregoś dnia zdecydowałam się. Towarzyszyli mi dwaj dozorczy, jeden z przodu, drugi z tyłu, zaś z wieżyczki dwaj żołnierze nie odrywali ode mnie wzroku, jak gdyby szykowali się pochwycić mnie jeśli pofrunę do góry. Przyglądając się ich twarzom, zrozumiałam, że uważają mnie za wielką zbrodniarkę, osądzają surowo i są dumni z zaufania, jakim obdarzyło ich państwo.

A więc jestem zbrodniarką! Moi dozorczy są, prawdopodobnie, komsomolcami. Jeszcze przed kilkoma miesiącami mogłabym spotkać się z nimi na czytelniczej konferencji, na autorskim spotkaniu. Słuchałoby moich opowiadań o wojnie domowej, o młodości Karola Marksa i patrzyłoby na mnie z takim samym nasileniem sympatii i przyjaźni, jak obecnie patrzą z gniewem i nienawiścią.

I znowu mi się wydało, że oszalałam i jestem w malignie. Ale, być może, mój mąż rzeczywiście udawał, może należał do spisku? W takim razie to nie moja ojczyzna, nie partia wtrąciły mnie do przepaści, lecz zdrada najbardziej bliskiego człowieka. Ale jak się w tej płątanie zorientować?!

Przypomniałam sobie surowe prawa starożytnych Rzymian, które skazywały na śmierć lub prześladowania rodziny patrycjusza, którzy byli o coś podejrzani, lub pokonani w walce politycznej. Czyż nie zginęły żony wrogów Republiki lub Cezarów, jak ukochana małżonka Cicerona, Pompejusza i innych, uwiecznionych przez historię działaczy państwowych? Wielka Rewolucja Francuska posłała na gilotynę Lucillę Desmoulins, wierną towarzyszkę wielkiego trybuna, prześladowała Elżbietę Lébás.

Na wschodzie, a także w Rosji, za Rurykowiczów i Romanowych, rodziny bojarów i dworzan, którzy znaleźli się w niełasce, odczuwały na sobie skutki carskiego gniewu. Nawet żona protopopa Awwakuma nie uratowała się od zguby. Tak było dawniej. Teraz są inne czasy. Więc natarczywie żądałam spotkania z sędzią śledczym, żeby dowiedzieć się prawdy, bębniłam w drzwi, buntowałam się. Wtedy do celi wpadali dozorczy i korytarzowy.

Ale najstraszliwszą torturę dla mnie, tak jak i dla każdego więźnia, znajdującego się w śledztwie, stanowiły noce.

Wówczas baszta ożywała. Słysząc było krzyki, urywki zdań...

— Jestem niewinny... żegnajcie... towarzysze... umieram... Na schodach ktoś szlochał, wyrывał się. Na podwórzu ochryple huczał motor „czarnego kruka”. Po-skrzypując, otwierała się brama. Potem wszystko ucichało, aby wkrótce powtórzyć się znowu.

Trzaskały jakieś drzwi, dobiegały głosy i urywały się, przerywane zapewne wepchniętym do ust kneblem. W baszcie siedzieli skazani na śmierć. Kiedy uczyniłam

to odkrycie, przestałam sypiać po nocach, oczekując aż mnie wywołają na egzekucję. I tylko za dnia, skurczona na łóżku, zapadałam w ciężki sen. Palto było zarazem kołdrą i poduszką. Jedyłą koszulę przepierałam na pokrywce od kibla. Suknia, pończochy, pantofle zdarty się. Minęło już przeszło półtora miesiąca, odkąd zabrano mnie ze szpitala. Kiedy już straciłam nadzieję, że kiedykolwiek dowiem się, o co mnie oskarżają i za co pogrzebali mnie w więzieniu, zaczęłam uczyć się, jak mam umierać z godnością komunistki. Szukałam w pamięci przykładów ludzi, którzy ginęli ze stoicyzmem.

„Jakby to było pięknie — myślałam — rozstać się z życiem od kuli wroga, a nie w piwnicy, w stalowym uchwycie, od ręki człowieka wierzącego w tę samą ideę. Być może, jeden z tych towarzyszy, z którymi wspólnie walczyłam przeciw Białym, razem studiowałam w Instytucie, razem płakałam nad trumną Lenina, razem walczyłam z trockistami na burzliwych zebraniach lat dwudziestych — może właśnie jeden z nich przystawi mi rewolwer do karku?”

W każdym przestępstwie już tkwi przyszła kara, ale to przerażające — nie poczuwać się do żadnej winy i umierać z ręki swoich, do końca nie wiedząc: za co?

Mój umysł nie był w stanie ani przyjąć z pokorą, ani tym bardziej wyjaśnić tego, co się stało. Przebiegałam myślą całe moje życie, dzień po dniu, i nie mogłam znaleźć w nim nic godnego potępienia. Obawiając się nawrotu szaleństwa, uporczywie starałam się czerpać moc z dwóch książek, które dziwnym zbiegiem okoliczności trafiły do moich rąk. Jedna z nich to „Bogowie łakną krwi” we francuskim oryginale, druga — „Iliada” w polskim przekładzie.

France i Homer. W wieku lat dwudziestu ogromnie przejmowałam się zmiennością losów kobiecych w okresie francuskiej rewolucji. Z zapałem zbierałam drobne kamyczki, okruchy historii, wskrzeszając tragiczne dzieje Manon Rolland, Lucille Desmoulins, Elżbiety LÉbas, Kla-

ry Lacombe. I czyż mogłam domyśleć się, że gdy ledwie dobiegnę do trzydziestki, będę wyczekiwać, podobnie jak one wszystkie, śmierci na więziennym łożu!

„Rewolucja, jak bóg czasu, Saturn, pożera własne dzieci” — przypomiinałam sobie słowa Büchnera o Dantonie. Byłam jedną z córek rewolucji. Jak one, pragnęłam obecnie tylko jednego — jawnego sądu. Chwytałam samą siebie na tym, że podobnie jak owe Francuzki, bohaterki mojej książki, w myśli przygotowywałam przemówienie, które wygłoszę przed trybunałem. Ale co będzie, jeżeli zabiorą mnie z baszty po kryjomu i zawiozą „czarnym krukiem” na tajną egzekucję? Więc znowu chciwie czytałam pożegnanie Andromaki z Hektorem, lament Kasandry, scenę śmierci Hektora. Stronice te, które niegdyś wydawały mi się nudne, teraz odczytywane w polskiej mowie, zyskały dla mnie nowy, heroiczny sens i pomagały uspakajać się. Jak zazwyczaj w więzieniu, trwoga o rodzinę osłabiała wolę. Znajdowałam się w ścisłej izolacji. Wydawało mi się, że moja matka została również uwięziona, że dzieci są w przytułku, a być może wszyscy oni już nie żyją.

Któregoś dnia, gdy po raz nie wiadomo który czytałam o tragedii partyjnych walk Jakobinów, otworzono lufcik w drzwiach i męski głos zapytał:

— Który macie numer obuwia?

Odpowiedziałam. Wszystko ucichło. Ale serce biło jak oszalałe. Tama, którą z takim trudem zbudowałam sobie w świadomości, rozlatywała się w gruzy. Myśli wyrwały się i pędziły, obalając wszystko po drodze. A więc zaraz mnie zawiozą na sąd. Co to będzie? Wojskowe kolegium, czy trybunał? O co mnie oskarżą?

Spojrzałam na swoje nogi. Pończochy i pantofle rozleciały się. Naturalnie, przed wyprowadzeniem z celi, trzeba mi było dać jakieś obuwie. W pojedynczej celi, przy absolutnym braku jakichkolwiek wrażeń zewnętrznych, czas biegnie niezwykle szybko, a teraz od razu zaczął wlec się w żółtym tempie. Ale oto znowu otworzyło

się okienko i wrzucono mi do celi dwie pary grubych pończoch. Zazgrzytały otwierane drzwi, mężczyzna w czarnym palcie z karakułowym kołnierzem, w wysokich butach i w czapce, dał mi znak, żebym wyszła. To, co miało się stać, tak mnie przestraszyło, że musiałam zdobyć się na wysiłek, żeby opuścić celę.

Po przejściu podwórka, ruszyliśmy długimi korytarzami Butyrskiego więzienia. Kilkakrotnie, gdy naprzeciw szli aresztanci, wpychano mnie do boksów jak dla psów, do kamiennych pudełek bez żadnej wentylacji. Nareszcie znalazłam się w ogromnym gabinecie o oknach wychodzących na ulicę. Za biurkiem siedział ten sam wąsaty naczelnik więzienia, który przychodził do mnie do karceru. Z kanapy znajdującej się u przeciwległej ściany podniósł się okazały osobnik w wojskowym mundurze i wyciągnął do mnie dłoń. Gwałtownie cofnęłam rękę.

— Starszy major Kaminskij — przedstawił się wojskowy. — Co to, Galina Josifowna, jakoś blado mi wyglądacie... Smucicie się, niepokoiacie...?

— Gdzie jest moja matka i dzieci, co wyście z nimi zrobili? — przerwałam mu, tracąc dech ze wzburzenia.

— Są zdrowi. U was w domu także wszystko jest w najlepszym porządku.

„Dom, rodzina — czy to jeszcze istnieje? — przeleciało przez mózg. — Nie, to nie może być, to oszustwo, kłamstwo...”

— Wkrótce zobaczycie się z nimi — powiedział Kaminskij, zapalając papierosa. Po czym, uśmiechając się filuternie do własnego odbicia w lustrze, kontynuował:

— Rzecz w tym, że powinienem był przyjechać po was jeszcze 18 lutego, ale w związku ze śmiercią Ordżonikidze mogłem to zrobić dopiero dziś, 21.

— Siergo! — przeraziłam się.

— Nie przejmujcie się... Muszę was poinformować, że rząd sowiecki wyjątkowo łaskawie potraktował waszego męża — mówił dalej Kaminskij — darowano mu życie, został skazany zaledwie na dziesięć lat. Według

30 artykułu... przeciw wam osobiście... wasza niewinność została udowodniona, wobec czego postanowiliśmy zwrócić wam wolność.

Gdy Kaminskij doszedł do tego miejsca, naczelnik więzienia, jak w teatralnej sztuce ze szczęśliwym zakończeniem, zakaszła znacząco, wyszedł zza biurka i otworzył drzwi. Do pokoju weszły matka i Zoria.

Kaminskij łaskawie odprowadził nas do więziennej bramy. Po drodze do domu dowiedziałam się wszystkich szczegółów rozprawy sądowej, w której skazano mego męża. W mieszkaniu, kiedy zdjęłam ze siebie podarte łańchmany, w jakie zamieniło się moje ubranie, matka aż cofnęła się, ujrawszy moją zboląłą, pokaleczoną skórę — skutek dziesięciodniowego pobytu nago w „gumowej” celi i na cementowej podłodze karczeru. Natychmiast z pośpiechem zaczęła mnie kurować, przykładając kompresy z ciepłej oliwy.

Dowiedziałam się, że wkrótce po zabraniu mnie ze szpitala, moją matkę, w przeszłości pracownicę GPU, starego członka partii, wezwano na Łubiankę.

— Naturalnie, pragniecie wiedzieć gdzie znajduje się wasza córka i co się z nią dzieje. Powiemy wam wszystko, jeśli napiszecie od siebie, pod nasze dyktando, list do jej męża, informując go, że Galina Josifowna znajduje się w domu i doskonale jej się powodzi. Jej książki są nadal wydawane.

— Przecież to nieprawda. Nie wiem, gdzie znajduje się moja córka, ale jej książki zostały zabronione i usunięte z bibliotek — odpowiedziała moja matka.

— W bardzo niedalekim czasie oddamy wam waszą córkę, ale jako członek partii jesteście zobowiązani przyjść nam z pomocą.

Matka napisała, że jestem na wolności. W dwa tygodnie później rzeczywiście opuściłam Północną basztę w Butyrkach i powróciłam do domu.

Tegoż samego wieczoru, po powrocie równie niezrozumiałym jak aresztowanie, u wejścia rozległ się dzwo-

nek. Czekała w starszym wieku, o zniszczonych, obwisłych policzkach, przyniósł dwa duże kosze z żywnością i zabawkami. Zaproponował mi również siedem tysięcy rubli, ale zdecydowanie je odrzuciłam.

— To wszystko posyła wam i waszym dzieciom towarzyszy Jeżow w osobistym darze — wyjaśnił lakonicznie w odpowiedzi na nasze pytania.

Jeszcze kilka razy zjawiał się u nas posłaniec Jeżowa. Potem podarunków więcej nie było.

Po takich doświadczeniach przestałyśmy się dziwić czemukolwiek.

W marcu odbyło się Plenum Centralnego Komitetu. Po śmierci Ordżonikidze i dwóch krwawych procesach Stalin uznał widocznie, że należy złapać oddech, wobec czego oświadczył z całą hipokryzją, że czas zaniechać terroru.

„Nie wszyscy, którzy szli tą samą drogą z kontrrewolucjonistami, należą do kontrrewolucji” — oświadczały natarczywie dzienniki.

„Czarne kruki”, przemalowane na błękitno, prezentowały obecnie pociągające napisy: „Pieczywo”, „Mleko”...

Zamknęłyśmy się w naszym mieszkaniu, nadaremnie usiłując odgadnąć przyczyny nieszczęścia, które zważyło się na nas.

— Co złego — pytałam naiwnie — uczyniłyśmy w życiu?

— A co zrobiłyśmy dobrego? — odpowiadała Zoria. — Najwidoczniej, niewiele.

— Dlaczego — narzekałam — jesteśmy takie nieszczęśliwe?

Dziewczynka również ciężko wzdychała dziecinnym sposobem:

— A dlaczego, mamusi, myślisz, że życie ma być szczęśliwe, a nie nieszczęśliwe? W przeciwnym razie nie byłoby żadnych rewolucji.

Oczy Zori utraciły swój dziecinnie wyraz, blada twa-



rzyczka, pokryta piegami, wychudła jeszcze bardziej. Spędziła już niejedną noc u więziennych bram. Dotarła do Wyszyńskiego, żądając widzenia z ojcem, a kiedy zabrano mnie ze szpitala, uporczywie szukała moich śladów po wszystkich moskiewskich więzieniach.

Któregoś dnia wezwał mnie razem z Zorią zastępca ludowego komisarza NKWD, Żukowski. Co najbardziej rzucało się w oczy u tego dobrze wypasionego, o czerwonej twarzy osobnika, to niezliczone, jaskrawo rude piegi, oraz bujna, nieczesana czupryna. Znaliśmy się od dawna, więc czuł się dość niezręcznie, wymownie namawiał mnie do wypicia kawy i do napisania listu, w którym miałam wyprzeć się mego męża.

— Napiszcie, my to wydrukujemy — namawiał mnie i pokazał numer dziennika, z oświadczeniem pewnej kobiety, która obrzucała stekiem wymysłów człowieka, jej długoletniego małżonka.

— Nie — odpowiedziałam ostro — to nikogo nie przekona. To nieprzystojna rzecz.

— Ale przecież wasz mąż przyznał się na procesie do krwawych przestępstw. Czyżbyście nie mieli zaufania do naszej sprawiedliwości, do sądu, wreszcie do jego własnych słów?

— Mam zaufanie, bardzo cierpię, potępiam zdecydowanie męża, bo jeśli jest niewinny, jego obowiązkiem było umrzeć milcząc, a jeżeli istotnie winien, to popełnił podwójną zbrodnię, nie tylko wobec swej ojczyzny, lecz również wobec swej rodziny, wobec nas wszystkich.

— No, więc widzicie, oszukał was, okrył hańbą, a wy nie chcecie powiedzieć tego w prasie.

— Są czyny, których się nie popełnia z uwagi na samego siebie, z uwagi na poczucie własnej godności ludzkiej. Mimo wszystko jednak mi nie uwierzą i powiedzą: — Cóż za podła baba, dopóki tamtego honorowali, korzystała z jego pozycji, a teraz ratuje własną skórę. Mój mąż został skazany i to w zupełności wystarcza. Zerwa-

łam z nim wszelki duchowy związek, ale publicznie na niego napadać nie chcę.

Nadaremnie Żukowskijski usiłował nadal mnie przekonywać, a nawet zwrócił się do Zori, żeby mu przysłała z pomocą. Nasza rozmowa skończyła się na niczym.

W czerwcu 1937 roku prasa zawiadomiła cały kraj o sądzie nad Tuchaczewskim i skazaniu go na śmierć. Razem z nim skazano Primakowa, Uborewicza i innych wyższych dowódców. W tym samym czasie zastrzelili się Gamarnik. Trzynastego czerwca wezwano mnie na milicję, bez żadnych wyjaśnień odebrano paszport i odczytano wyrok Specjalnej Komisji NKWD, skazujący mnie na pięć lat zesłania do Kazachstanu. Miałam przed sobą trzy dni czasu. Opuściłam Moskwę z dwuletnią Łaną i z matką, która nie chciała mnie opuścić. Mieszkanie i rzeczy pozostały pod opieką małej Zori. Pamiętam, że na dworcu, patrząc na śmiejące się osoby, pomyślałam, że już nie tylko śmiać się, ale i uśmiechać nie potrafię nigdy. Moja twarz była tak zmieniona i zniekształcona cierpieniem, że z trudem rozpoznawałam samą siebie w lustrze.

W Ałma-Acie współpracownik NKWD zaproponował nam apartament w Domu Rad.

Niedość jeszcze doświadczona, nie zrozumiałam wtedy, że chciano ze mnie uczynić przynętę, na którą, być może, pójdzie któryś z miejscowych kazachskich działaczy.

„Młodość Marksa” została przełożona i wydana w Ałma-Acie, pisano o niej sporo w prasie. Ale wewnętrzno-partyjny terror już dotarł do Kazachstanu i w Domu Rad, gdzie zamieszkałam, ludzie na samo brzmienie mego nazwiska odskakiwali z przerażeniem; ja sama starałam się nie wychodzić ze swego pokoju. Po trzech dniach zaproponowano mi, żebym na terenie republiki Kazachstanu wybrała sobie które bądź miasto, gdzie miałam odbyć zesłanie.

Wymieniłam Semipałatynsk, pamiętając, że tam właśnie Dostojewskij odbył roczne zesłanie. Ciągle jeszcze nie

opuszczały mnie zwykle historyczno-literackie skojarzenia.

W końcu czerwca, w Semipałatyńsku, mieście piachu i wiatru, prawie nigdy nie pada deszcz, ale w dniu, w którym znalazłyśmy się na maleńkim dworcu, spadła ulewa. Stacja, jak zwykle w większości starych syberyjskich osiedli, była położona o trzy kilometry od miasta; w roku 1937 komunikację utrzymywały przypadkowe wozy czy podwozy, a w wyjątkowym wypadku dorożkarze. Poczekalnia dworcowa była zamknięta ze względu na remont i nasze walizki poniewierały się na piachu przydworcowego placu. Matka otworzyła parasol i usiadła na jednej z walizek. Rozpalona twarzyczka dwuletniej Łany potwierdziła nasze najgorsze obawy: dziewczynka zachorowała. Musiałam jednak natychmiast zgłosić się do okręgowego zarządu NKWD i zameldować się tam. Matka troskliwie włożyła do koszyka buteleczkę z mlekiem, pluszowego niedźwiadka i nocniczek w futerale. Postanowiliśmy, że zabiorę dzieciaka ze sobą, licząc na to, że, być może, łatwiej mi będzie otrzymać pomoc przy zakwaterowaniu. Miałyśmy szczęście: z bramy nędznego obojścia wyjechał konik w uprzęży. Cztery koła, połączone żerdkami, po środku pniak, a na nim, jak na osiołku, siedział Kazach. Po raz pierwszy ujrzałam tak dziwny pojazd, ale wyboru nie było. Woźnica przyjrzał mi się obojętnie i chciał odmówić, ale zaproponowane pieniądze odniosły jednak skutek.

— Właż — powiedział znużonym głosem. Z wielkim trudem zdołałam ulokować się razem z dzieckiem w tym zadziwiającym pojeździe. Głośno hałasując, niesmarowane koła wlokły się po kiepsko brukowanej ulicy, między nędznymi budynkami, pochyłymi płotami i potwornymi kramami. Nigdzie ani jednego drzewka. Pod deszczem piasek był ciemny jak smoła i tej samej barwy wydawały się chmury na niebie. Na dużym gmachu wśród opustoszałego placu wisiał afisz, zapowiadający występy cyrku Szapito. Podjechaliśmy do Domu Chłopa, żeby dowiedzieć się, czy nie ma wolnych pokojów.

W podwórzcu, gdzie rżały wyprzęgnięte konie i pochmurnie milczał samotny wielbłąd, patrzono na mnie ze zdziwieniem. W Domu Chłopa nie wynajmowano pokoiów. Lokatorzy nie wyprowadzali się z niego od wielu lat.

Niedaleko od brzegu Irtysza, w najbardziej obszernym i ozdobnym domu w mieście, z ogródkiem pełnym rabatów przed oknami, mieścił się zarząd okręgowy NKWD, do którego, zgodnie z przepisami, miałam zgłosić się natychmiast po przyjeździe, żeby mnie wciągnięto na listę zesłańców. Po długim wyczekiwaniu w korytarzu, gdzie tłoczyli się krewni aresztowanych, przybyli z paczkami, oraz zesłańcy na sprawdzenie obecności, nareszcie zawołano mnie do komendanta.

Był to wysoki brunet, czyniący wrażenie okrutnika.

— Uprzedzam — oświadczył groźnie — że nie wolno wam wydalać się poza granice miasta. — I właśnie w tej chwili Łanoczka zaczęła płakać, że chce siusiu. Nie zwracając uwagi na komendanta, położyłam dziewczynkę na kanapie, wydostałam nocniczek i postawiłam go na podłodze przed biurkiem. W chwilę później zbliżyłam się do otwartego okna i wylałam zawartość na rabaty. Komendant siedział z szeroko otwartą tłustą gębą, mrugając bez przerwy mocno skośnymi oczami. Nie powiedział jednak ani słowa. Podpisał zaświadczenie zesłańca, przypomniał, że mam zjawiać się u niego trzy razy w miesiącu do sprawdzenia. I znowu bezludna ulica i ulewny deszcz.

Dzieciak był w malignie. Opanowała mnie rozpacz. Naprzeciw, od brzegu Irtysza, powoli jechała bryczka. Kiedy zrównała się ze mną, pasażer coś powiedział do woźnicy, zeskoczył w ruchu i skręcił za róg. Zwróciłam się do starszego już woźnicy z prośbą, żeby zawiózł mnie na stację, gdzie czekała matka. Pojechaliliśmy. Po dżdżystym dniu nastąpiła taka sama ohydna noc. Nie miałyśmy gdzie nocować.

Nieoczekiwanie Andriej Iwanowicz — tak nazywał się dorożkarz — zaproponował nam gościnę. Taka dobroć

ze strony obcego człowieka ucieszyła mnie i zarazem wzbudziła czujność. Uważnie przyjrzałam się naszemu zbawcy. Chuda, pociągła twarz, z dużym wąskim nosem... i długimi wąsami nie budziła we mnie zaufania, ale nie było innego wyjścia. Długi, bardzo długi czas jechaliśmy przez nieznaną nam miasto, sprawiające złowieszcze wrażenie, wzdłuż nędznych lepianek, solidnie budowanych syberyjskich chat, jednopiętrowych murowanek. Ulice nie miały żadnego oświetlenia, tu i ówdzie światło przebijało się przez szpary w okiennicach. Nareszcie, po okrążeniu jakiegoś niezabudowanego placu, koń zatrzymał się przed niską, jak gdyby zapadniętą w ziemię chałupą. Podobna do kuli, jasnowłosa kobieta, wypełniając sobą całe drzwi, spotkała nas na progu.

— Zajmij się gośćmi, Maria Iwanowna — spokojnie powiedział dorożkarz.

Wcale nie zdziwiona naszym zjawieniem się, co także nas uderzyło, gospodyni usłużnie wciągnęła nasz bagaż do chałupki i zabrała się do rozpalania samowaru. Naftowy kopciuch ledwie oświetlał pokój o glinianej podłodze.

— Prosimy nie gniewać się, w biedzie żyjemy — powiedziała gospodyni — szyję barczatki, więc sami rozumiecie, teraz w lecie roboty niewiele.

Nie miałam pojęcia co to są te barczatki. Maria Iwanowna jak gdyby ucieszyła się moją niewiedzą i zaczęła opowiadać, w jaki sposób Sybiracy szyją tułupy. Stopniowo rozmowa stawała się coraz bardziej lakoniczna i urwała się.

Ulokowałyśmy Łanoczkę na rozścielonym materacu i wyszłyśmy na pusty plac. Deszcz przestał padać. Panował gęsty, nieprzebity mrok. Milczałyśmy, myśląc o tym samym. Jakieś półtora roku temu w Moskwie odbył się sąd nad dorożkarzem, który przy pomocy żony zabijał siekierą osoby zaproszone na nocleg. Obrabowane ciała palili później w piecu.

— W pobliżu domu — powiedziała matka żalonym tonem — ani żywego ducha... — a ja dodałam, podchwy-

ciwszy to, czego nie dopowiedziała: — Można krzyczeć, ile chcesz, i tak nikt nie usłyszy.

Ale byliśmy tak znużone i zrezygnowane, że myśl o niebezpieczeństwie już nas nie mogła przerazić.

Kiedy wróciliśmy do chałupki, z sąsiedniej klitki wyjrzała babka i siostrzeniec gospodarza. Babka wydała mi się istną czarownicą, zaś siostrzeniec bandytą. Na domiar złego parobczak wyciągnął zza pieca siekiere i wyszedł po coś do sieni. Tymczasem Maria Iwanowna częstowała nas herbatą i namawiała, żebyśmy się położyły na jedynym w domu drewnianym, podwójnym łóżku, w którym zazwyczaj spała razem z mężem. Ten nadmiar troski przestraszył mnie jeszcze bardziej. Niski sufit, do którego można było dostać dłonią, wisiał nad głową, po ścianach skakały dziwaczne cienie, biegnące od kopczącej lampki. Matka i ja pokornie ułożyłyśmy się na podłodze obok dzieciaka bredzącego w gorączce.

Poranek spotkał nas słońcem. Maria Iwanowna dawno już rozpałała samowar. Jej mąż poszedł do pracy. Pracował jako stangret u jednego z partyjnych funkcjonariuszy w okręgu. Zgrzybiała babka i siostrzeniec Kola wydali mi się teraz, przy dziennym świetle, uosobieniem dobroci. Zanim wybrałam się z dzieckiem do lekarza, Maria Iwanowna pobiegła do sąsiadki po mleko. Ale mleczarka, dowiedziawszy się, że jesteśmy z Moskwy, a ja przyjechałam na zesłanie, kategorycznie zapowiedziała, że niczego nam nie sprzeda.

— Mam syna w Czerwonej Armii, kto to wie, co może się wydarzyć! Takie czasy przysły — oświadczyła zdecydowanie.

Doktor Cybin, były zesłaniec, obejrzał Łanę i zabrał się do pisania recepty, ale gdy mu powiedziałam nazwisko dziecka, aż drgnął ze strachu.

— Poszukajcie sobie innego lekarza, albo jeszcze lepiej — idźcie do przychodni, wątpię, czy ktokolwiek zechce pójść do was do mieszkania. Teraz żartów nie ma. Ja sam uratowałem się cudem. Kiedyś w Moskwie na Kis-

łowskiej ulicy miałem własną klinikę. Jednym słowem, zdajecie sobie sprawę.

Kiedy próbowałyśmy wynająć pokój, usłyszałyśmy to samo. Jednak Andrzej Iwanowicz i cała jego rodzina zachowywali się nadal gościnnie i jak mogli ułatwiali nam niełatwe życie. Ponieważ mieszkania na stałe nie udało się znaleźć, zostałyśmy zmuszone do kupienia chałupy — pieniądze, na szczęście, miałam, otrzymane za ostatnie wydanie „Młodości Marksa”. Tenże Andrzej Iwanowicz znalazł dla nas dom niedaleko od własnego. Chatę z okrągłaków, krytą cienką dawno oblażłą z farby blachą, wystawił kiedyś oberżysta dla córki. Oboje umarli i spadkobiercy chętnie sprzedali nam domek. Składał się z dwóch pokoików, przegrodzonych sienią, miał niski sufit i bardzo się nam spodobał. Okna, wychodzące na trzy strony, przepuszczały dużo światła, ale najbardziej spodobała nam się piwniczka; miałyśmy nadzieję, że wkrótce wypełnimy ją ziemniakami, oraz beczkami z kiszoną kapustą i ogórkami. Maria Iwanowna uczyła matkę i mnie robić syberyjskie pierogi, tak zwane *pielmenie*, uczta wydana w dniu przeprowadzki miała być próbą naszych umiejętności kucharzkich według miejscowych zwyczajów. Wśród zaproszonych do nowego domu tego ważnego dnia byli tylko Andrzej Iwanowicz z żoną, siostrzeniec i zgrzybiała babka.

— I jakże to — zapytałam przy kolacji woźnicę — zgodziliście się zawieźć mnie i Łanoczkę na stację w taki ulewny deszcz?

— To nie ja, to mój naczelnik, Piotr Pietrowicz, zauważył was, zrobiło mu się żal i powiada: „Patrz, na pewno jeszcze jedna zesłana. Widzisz — płacze i do tego z dzieciakiem, czekaj-no, ja zejde, a ty, bracie, podjedź, zabierz ją i zawieź gdzie potrzeba...” Serdeczny człowiek z naszego Piotra Pietrowicza. Jego żona mi opowiadała — ależ podczas wojny domowej zdrowo łupił białogwardzistów!

Przez długi czas... jakby tu odwdziżyć się Andriejowi Iwanowiczowi i jego rodzinie za ich dobroć, i posta-

nowiłyśmy przeprowadzić... ich chałupę na wydmuchu. W tym celu... konieczną sumę Marii Iwanownie. Ale wypadło inaczej. Akurat w tym czasie został aresztowany Piotr Pietrowicz, u którego pracował woźnica. Z rozpaczy Andriej Iwanowicz zaczął pić... dostał białej gorączki... moja próba wsparcia tych serdecznych, bezinteresownych ludzi.

Z radością rozmieściliśmy się w zakupionym domku, z nadzieją, że przemieszkamy w Semipałatyńsku te całe pięć lat.

Starając się oszczędzać, postanowiłam sama pomalować blaszany dach i wgramoliłam się na górę z wiadrem olejnej farby. Pośliznęłam się i o mało nie zleciałam. Miejskie kumoszki, gdy ujrzały mnie w spodniach i z malarskim pędzlem w ręku, rozniosły tę sensacyjną wiadomość na całe miasto i wkrótce zebrał się cały tłumek, wytrzeszczający oczy na eks-pisarkę przyklejoną do dachu. Na domiar złego po drabinie zaczęła wlaźać mała Łana, przestraszyła się i podniosła niesamowity wrzask. Widowisko udało się jak rzadko. Jacyś litościwi gapie pomogli nam zejść na ziemię ku jeszcze większemu zachwytowni zebranych. Tak skończyły się moje próby racjonalnego i taniego prowadzenia gospodarstwa. Trzeba było trzykrotnie przepłacać odważnym, którzy zgadzali się zrobić cokolwiek w naszym domu, wymagającym remontu. Jak wyjaśniło się później, większość z nich była nasłana, by nas szpiegować, a więc otrzymywała pieniądze nie tylko od nas. Po miesiącu przestały przychodzić listy z Moskwy od Zori, która została by podjąć pieniądze za rzeczy oddane — przed naszym pośpiesznym wyjazdem — sklepom komisowym.

Na nasze niespokojne depesze nie było żadnej odpowiedzi. Jużesmy przypuszczały, że dziewczynka zachorowała w drodze i zginęła. Codziennie wysyłałyśmy błagalne depesze do Stalina i Jeżowa, prosząc o pomoc w odszukaniu dziecka. Przebywając na zesłaniu, nie mogłam uczynić nic więcej ponadto. Kiedy straciłam już wszelką



nadzieję i zmiażdżone rozpaczą siedziałyśmy za zamkniętymi okiennicami domu, rozpalonego znojnym słońcem, przysłała nareszcie depesza od Zori, zawiadamiająca o wyjeździe z Moskwy. Pociąg przychodził o północy. Ze stopni wagonu zeskoczyła drobna dziecinna postać, z ogromną paczką pod pachą i z psem na smyczy. Była to Zoria. Przywiozła ze sobą obraz pędzla Benois, o którym słyszała od najwcześniejszych lat, że ma wielką wartość, i starego naszego przyjaciela — szkockiego terriera, Bulkę. W odpowiedzi na nasze pytania dziewczynka oświadczyła z wielką powagą:

— A ja przez trzy tygodnie siedziałam w więzieniu.

Chociaż byłyśmy przygotowane na każdą niespodziankę, ta wiadomość wprawiła nas w stan oszołomienia.

— W więzieniu, ty?

Zoria opowiedziała nam co następuje. Któregoś dnia zgłosił się do niej agent NKWD i zaproponował, żeby z nim poszła. Wsadził ją do samochodu i zawiózł na Małą Łubiankę. Wprowadzili ją na podwórze, poddali rewizji i zamknęli w więzieniu, gdzie znajdowały się dzieci w wieku od ośmiu do szesnastu lat. Regulamin tego więzienia niewiele różnił się od innych zakładów penitencjarnych. Pobudka o świcie, apele, spacery trwające dwadzieścia minut, etapowe transporty. Kiedyś Zorię wezwali na badanie. Przedtem wzięli odciski palców.

— Śledczy zażądał, żebym się przyznała, jakie tajne polecenia mamusi musiałam wypełniać. Wcale się nie bałam, kiedy mnie badali, tylko bałam się przez cały czas, że jesteście w więzieniu — opowiadała Zoria. — W dzień — przypominała dziewczynka — nigdyśmy nie płakały, ale w nocy to już nie można było wytrzymać. Dwie córki byłego komendanta Kremla, Petersona, bardzo się bały, żeby ich nie odseparowano, i młodsza... przytuli się do starszej siostry i obydwie gorzko płaczą... To ja też płakałam razem z nimi. Mnie... żal. I sama siebie także żałowałam. Tam... widziałyśmy także chłopców a ci opowiadali... zabrali gdzieś do karnej kolonii pod Swierdłow-

skiem. Jednego tylko chłopca zwolnili... jego wujek. A potem, kiedy już nie spodziewałam się, że was zobaczę, nagle mnie wywołali, wsadzili do samochodu i zawieźli do domu. Kazali, żebym zaraz jechała do was, bo jak nie, powiedzieli, to znowu zaaresztują i już więcej nie puszcza. Już nie miałam czasu, żeby dowiedzieć się, czy rzeczy oddane do komisów, zostały sprzedane, tyle że wzięłam ze sobą ten obraz, może go będzie można tu sprzedać, i także zabrałam ze sobą Bulkę.

Zachowywałyśmy się jak mniszki. Każdego rana matka powtarzała zawsze to samo, jak przykazanie: „Galeńka, błagam cię, siedź w domu. Nie chodź do czytelnicy, bo mogą powiedzieć, że szukasz wiadomości w gazetach w podstępny cel...” „Nie chodź przez most na Irtyszu, bo jeszcze pomyślą, że masz dywersyjne zamiary...” „Trzeba by jak najszybciej pozbyć się aparatu fotograficznego, bo mogą wpaść na podejrzenie, że ci go wręczył jakiś szpieg...”

Mówiło się o tym wszystkim całkiem na serio. Wydałam się za furtkę domu tylko trzy razy miesięcznie, żeby się zameldować. Zazwyczaj towarzyszyła mi matka albo Zoria. Wiadomo było, że meldujących się zesłańców często zabierano do więzienia.

Któregoś dnia przed gmachem okręgowego zarządu NKWD podszedł do mnie jegomość w wielu lat czterdziestu, o szarych wyblakłych i rozbieganych oczach, łysy i bezzębny. Przedstawił się jako Władimir Pietrowicz Ławrowskij i... że jest zesłańcem. Potem opowiedział, że jest wychowankiem Instytutu Czerwonej Profesury, że po długim okresie bezrobocia pracuje jako stróż przy miejscowym teatrze i ma nadzieję otrzymać posadę doradcy prawnego w geologicznym truście. Od dawna już unikałyśmy wszelkiego kontaktu z ludźmi i to spotkanie z krajanem, który dobrze znał wielu naszych przyjaciół, niezmiernie przejęło i mnie i matkę. Ławrowskij zaczął często do nas przychodzić. Pewnego dnia wziął mnie na stronę i szeptem zaproponował pomoc w przedostaniu się

zagranicę. Początkowo wyśmiałam go. Gdy jednak namawiał w dalszym ciągu, powiedziałam dość patetycznie:

— Wielokrotnie wyjeżdżałam zagranicę, ale nigdy nie byłam w stanie przebywać przez dłuższy czas z dala od ojczyzny. Dręczyła mnie tęsknota. To przecież największa kara jaka może spotkać. Proszę sobie przypomnieć tragedię Korjolana. A wy mi proponujecie, żebym sama siebie skazała na cywilną śmierć.

— Zagranicą możecie liczyć na pomoc Shawa, Rolanda i wielu innych. Będąc na Zachodzie, łatwiej potrafiacie udowodnić swoją niewinność i spowodować przywrócenie wam praw — upierał się w dalszym ciągu Ławrowskij.

Ostro przywołałam go do porządku.

— Żebyście nigdy więcej nie ośmielili się namawiać mnie do zdrady. Cokolwiek mnie oczekuje, moim obowiązkiem jest pozostanie w ojczyźnie. To moja ojczyzna, należę wyłącznie do niej.

— Proszę zastanowić się, mam przyjaciół-lotników — nie zniechęcał się Ławrowskij. — Przerzucą nas na chińską stronę. To zaledwie 400 kilometrów. Zgódźcie się — życie rozpocznie się od początku. Ja także polecę z wami.

Ławrowskij przyjął kategorię odmowę z wyraźnym rozczarowaniem, po czym na próżno starał się namówić moją matkę.

Wciąż jeszcze byliśmy tak naiwne, że nie rozpoznałyśmy w nim prowokatora i dopiero później dowiedziałyśmy się, że otrzymał zadanie, by mnie skompromitować. Mimo wszystko, Ławrowskiemu udawało się oszukiwać nas przez dłuższy czas. Kiedy mnie aresztowano, wyłudził od matki tysiąc rubli, to i owo z odzieży, rzeczy, które, jak zapewniał, chciał schować na wypadek, gdyby im groziła konfiskata. Później, już w więzieniu, spotkałam wiele ofiar prowokacji Ławrowskiego.

Nieszczęścia chodzą parami. W jesieni tegoż 1937 roku matka spadła z rosyjskiego pieca i ciężko się rozcho-

rowała. Łanoczka zapadła na niezwykle ciężką dyzenterię. Ratując jej życie, zaraziłam się i także zważyło mnie z nóg.

W mieście, w którym przebywało wielu zesłańców, noc w noc przeprowadzano aresztowania. Więzienia były przepełnione. Coraz mniej osób przychodziło meldować się. Zbliżał się również i mój termin. Podśluchałam matkę kryjącą się przede mną ze swoją troską, kiedy przez łzy powiedziała do Zori:

— Trzeba chuchać na naszą Galeńkę, starać się dogadzać jej we wszystkim. Niedługo przecież ją stracimy.

I mimo wszystko nie traciłyśmy nadziei, cztery kobiety, w wieku od sześćdziesięciu do trzech lat, cieszyły się życiem i czekały na cud. Nie wiedząc czym wypełnić czas, jaki mi zostawał po zajęciach gospodarskich i obowiązkach matki, próbowałam, bez większego co prawda powodzenia, majstrować zabawki na choinkę na Nowy Rok. Oszukiwałam samą siebie, bez czego najwidoczniej trudno jest przetrzymać tyle niezwyklej nieszczęść. Uporczywie odpędzałam od siebie myśl, że wątpliwy jest mój pobyt w domu do końca grudnia.

Książki, papiery, notatki, listy, które przywiozłyśmy z Moskwy, były po aresztowaniu mego męża starannie zbadane i następnie zwrócone. Ale w głębi Kazachstanu, gdzie jakże często srożyli się bezkarnie nikczemni funkcjonariusze NKWD, wiedziałam, że przy aresztowaniu znowu zabiorą mi moje ukochane skarby i przywłaszczą je albo bezmyślnie zniszczą. Nie chodziło o pieniądze ani o cenne przedmioty. Po naradzie z matką i Zorią postanowiłam zakopać w ziemi fotografie, listy, książki i rękopis rozpoczętej powieści „Jedna z was”. Pracować nadal nad książką obawiałam się, żeby nie wzbudzić podejrzeń. I znowu padłyśmy ofiarą głupoty i łatwowierności — udzieliłyśmy pewnych informacji Ławrowskiemu.

Czwartego grudnia wyrwano mnie, chorą, z łóżka i za-

wieziono do więziennego szpitala. Po dwóch dniach przyszli do domu z rewizją. Całe podwórko zostało przeorane traktorem. Nasz „skarb” wykopali i zabrali przy zastosowaniu tak daleko idących ostrożności, jak gdyby chodziło o piekielną maszynę. Ławrowskij natychmiast zniknął.

Dezynteria wykrwawiła i wysuszyła mój organizm. Na pierwsze badanie przyprowadzono mnie, podtrzymując. I oto po raz pierwszy w życiu zobaczyłam sędziego śledczego.

— Opowiedzcie mi o kontrrewolucyjnej działalności waszego męża, i tak przecież całkowicie was zdemaskowano — powiedział sędzia i zaczął obierać jabłko szczyrykiem.

— Kłamstwo! — zaprotestowałam.

— Tu w tej teczce — śledczy skinął w kierunku solidnie podniszczonej teczki — są zeznania na piśmie przeciw wam.

Nagle zebrałam się na tyle siły, że zdołałam pochwycić i otworzyć teczkę. Była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć kawałka przetłuszczonego papieru, w który, najwidoczniej, uprzednio zawinięta była kanapka. Roześmiałam się.

— Tu są wasze dowody!

W odpowiedzi sędzia śledczy rzucił jabłko i obsypał mnie gradem najbardziej wymyślnych przekleństw. Krew uderzyła mi do głowy.

— Nie ważcie się hańbić munduru czekisty! — krzyknęłam z wściekłością i nie schodząc z krzesła odwróciłam się do biurka tyłem.

— Antysowiecka k...a! Szpieg!

— Milczeć — wychrypiałam, czując, że całkowicie tracę panowanie nad sobą.

— Natychmiast aresztujemy twoją matkę i córkę, to są takie same kontrrewolucjonistki, jak ty! — i znowu chamskie przekleństwo w matkę.

Nie mogłam się już opanować, zerwałam się, chwyciłam kałamarz i cisnęłam nim w twarz znieważającego mnie

chama. Z policzków spłynęły strugi czarnego atramentu. Czarne plamy popstrzyły mundur. Rozwścieczony śledczy rzucił się ku mnie i kilkoma razami scyzoryka pociął mi lewą pierś. Padłam na wznak.

Po tygodniu zabrano mnie z wewnętrznego więzienia do miejskiego. Ulica, przy której znajdowała się tiuma, nazwana była imieniem Dostojewskiego. Tu właśnie przesiedział przeszło rok.

Więzienie w Semipałatyńsku mogące pomieścić kilkuset więźniów, mieściło w roku 1937 ponad cztery tysiące. Dawna kaplica, zamieniona na przejściową, etapową celę, przypominała napchany tłumem, brudny dworzec kolejowy w latach wojny domowej. Ludzie leżeli pokotem na kamiennej podłodze, zgłodniali, żywcem żarci przez wszy. To samo działo się w zwykłych celach. Ale mnie, za karę za niewłaściwe zachowanie się podczas badania, wtrącono od razu do karceru. Była to na pół mroczna, cuchnąca komórka. Na godzinę przed przeniesieniem mnie do miejskiej tiumy otrzymałam od matki i Zori przesyłkę żywnościową. Chora, wygłodzona, wyobrażałam sobie oczekujące mnie gastronomiczne rozkosze, wyczuwając dotykiem przez worek cytryny, szynkę, czekoladę i słoninę.

Kiedy drzwi karceru zatrzasnęły się i zgrzytnął klucz w zamku, pierwsza rzecz, z której zdałam sobie od razu sprawę, był potworny smród. W kącie stała ogromna drewniana beczka, przykryta wiekiem z otworem pośrodku.

Na górnych narach siedziała kobieta w króciutkiej koszuli, opierając się obnażonymi ramionami o poduszkę. Nogi jej aż po same biodra pokrywał niebieski tatuaż. Odczytałam męskie imiona wyklute obok siebie w pionowych kolumienkach: Pawlik, Kola, Pawlik Drugi, Pietia, Żora, Sasza, Wania, Misza, Sławka...

„Ano — niezła sobie lista jakiejś Messaliny” — wyszeptalam mimowoli. Na jej piersiach zauważyłam liczne blizny po ranach, zadanych nożem, najwidoczniej świa-

dectwa czyichś tam zazdrosnych wybuchów. Na ramieniu kobiety widniała nakłuta siną barwą, ponura sentencja: „Szczęście w życiu nie istnieje”, a między palcami na odwrocie dłoni cztery litery tworzące imię — W a l a. Z głową odrzuconą do tyłu, udając, że mnie nie dostrzeżga, Wala śpiewała zachrypniętym sopranem:

*Ach, nie porzucaj mnie,  
mój żal jest bezgraniczny,  
tak się zadręczam,  
bo bez ciebie pusty świat.*

Wala miała okrągłą, kocią twarz i bardzo jasne, jakby nieistniejące oczy. Policzki, obficie posypane proszkiem do zębów, były trupio blade, w obramowaniu złocistych kędziorków, całych w papilotach z papieru.

Pod narami, a raczej, jak się tu mówiło, „pod szpargami”, siedziała świta „więziennej królowej” — nie zauważyłam jej w pierwszej chwili. Trzy dokładnie wygolone głowy kobiece skierowały się ku mnie wyczekująco. Później dowiedziałam się, że te na pół obnażone damy, przypominające swoim wyglądem mieszkanki Wysp Salomona z powieści Jacka Lodona, miały dźwięczne przezwiska: Maszka-dżuma, Tośka-prokurator i Olka-gnida.

Cztery pary oczu śledziły każde moje poruszenie. Worek z żywnością magnetycznie przyciągał spojrzenia mieszkanki karceru. Królowa przestała śpiewać i powiedziała władczo:

— Ano, kontrik, daj tu wałówę, bo jak nie, to będzie *amba!*

Maszka, Olka i Tośka wysunęły się spod nar i zaczęły wrzeszczeć zgodnym chórem: — Dawaj, *sztimpicha!* — przekleństwa, rozstawiające matkę po kątach, rozległy się w karcerze niczym serie z karabinu maszynowego. Był to atak dobrze obmyślony pod względem psychologicznym. Jednak Wala nadała tej zwierzęcej ofensywie sens ideologiczny.

— Ja ci tu pokażę, niedostrzelona agenturo!

— Rozwalimy ją — wrzeszczały te spod nar. I znowu posypały się najbardziej wymyślne przekleństwa.

Mieszkancki karceru czekały aż zaczę szukać obrony, wołać dyżurnego dozorcę i skarżyć się, co by stało się sygnałem ogólnego ataku i bójki. Ale ojciec od najmłodszych lat starannie uczył mnie, że nigdy nie należy na nikogo donosić. Jeśli zdarzyło się, że przyleciałam z jęzorem na rówieśników, natychmiast ojciec przeprowadzał rozprawę i wymierzał karę obojgu — oskarżonemu i skarżącej. Ta szkoła, którą dobrze pamiętałam, raz na zawsze oduczyła mnie od skarżypoctwa. Cztery więźniarki w karcerze nadaremnie czekały, że zawołam dozorcę. Kiedy zobaczyłam, że podobne do małych postaci wyłazą spod nary, żeby odebrać mi produkty żywnościowe, błyskawicznie podjęłam decyzję. Jedną ręką zrzuciłam na podłogę popękaną pokrywkę od kibla, a drugą wyciągnęłam zawartość worka i wysypałam do beczki. Nastąpiła cisza. Władczyni karceru znieruchomiała z podniesioną dłonią. Z wielkim żalem patrzyłam na pływające w śmierdzącym kiblu owoce, domowe pieczywo, czosnek i słoninę.

— Niech się w gada obróć! — rozległ się nagle niski, zachrypnięty głos Wali. — Widzę, że jesteś człowiekiem!

Nie minęła nawet minuta, a już siedziałam obok niej na górnych narach. W taki to sposób doszło do zawarcia znajomości z Walą Generałową.

— Oddaj kabat! — poprosiła nieśmiało, obmacując moje palto.

— Nie dam — odcięłam się lakonicznie. Ale jednocześnie zdjęłam ciepły, różnokolorowy szalik, podałam jej, dodając:

— Weź to na początek znajomości.

Wala chciwie chwyciła szalik i z pewną kokieteryą narzuciła go na obnażone ramiona. Po czym ordynarnie zaklęła, żeby podkreślić tym swoje najwyższe zadowolenie. Maszy-dzumie i jej koleżankom wręczyłam chustkę



do nosa, ciepłe skarpetki i rękawiczki. Przyjaźń była mocno zawarta. Siedziałam obok Generałowej, chciwie obgryzając suszoną woblę, którą mnie gościnnie poczęstowała, i naradzałyśmy się nad naszą przyszłością, niczym dwaj wodzowie, którzy wypalili fajkę pokoju.

## R O K 1938

Była noc sylwestrowa. Leżałam rozciągnięta na górnej narze karceru, wciśnięta twarzą w poduszkę Wali Generałowej. Pod nami krzątały się, wyśpiewując nieprzyzwoite piosenki, Olka-gnida, Tośka-prokurator i Maszkadzuma. Wala założyła nogę na nogę, paliła i czekała, aż mężczyzn wyprowadzą na podwórko i Tolik przekaże jej przez otwór judasza tak zwaną *ksiwę*, czyli mieszaninę płomiennych, miłosnych słów i najgorszych przekleństw. Nad ranem dozorca obiecał, że ją wywoła do szorowania kamiennej podłogi w korytarzu i w ustępach, i kto wie, może jej uda się spotkać z kolejnym kochankiem. Tolik to postrach wszystkich więźniów, złodziej dużej klasy i morderca. W więzieniu jest taką samą wpływową osobistością, jak Wala Generałowa. Wszyscy więźniowie musieli składać mu daninę. Administracja ustosunkowała się do niego zachęcająco. Drobnymi kryminaliści, stanowiący hołdowniczą drużynę Tolika, obrabowali niejednego już politycznego, oddając hersztowi lwią część, więc Wala otrzymała od swego rycerza marynarkę w dobrym stanie, jeszcze jakieś gałganki, oraz słoninę i machorkę, skradzione z czyjejs przesyłki.

— Ja to zawse zauwazam, ze ostatni frajer bywa najukochańsy — filozofowała Wala, drapiąc się i poru-

szając obnażonymi, pulchnymi ramionami. Urodziła się w Autonomicznej Republice Komi i mówiła w swoisty, właściwy temu krajowi sposób, wymawiając zamiast syczących liter wyraźne C albo S. — Napij się harbatki, cóż ty ciągle myślisz, jesce ci od tego myślenia głowa pęknie.

Nagle zerwała się na nogi, zaczęła tańczyć na pryczy i śpiewać swoją ulubioną piosenkę:

*Pokochałaś mnie nie dlatego,  
zem jak wicher, ani za męstwo,  
lec za to zem z grubą forszą  
do knajpy zabierał cię często...*

Natychmiast dołączyły trzy damy dworu. Zaczął się prawdziwy sabbat czarownic, który, jak już wiedziałam, zawsze kończył się tak, że Tośka rzuci się na Olkę i Maszkę, i dojdzie do gwałtownej bójki.

Oto w jakim otoczeniu miałam odtąd przebywać przez całe lata! Przerażenie chwytало za serce twardymi dłońmi. Po co odzyskałam zmysły, dlaczego mnie nie rozstrzelano?! Ale może jeszcze to zrobią. Czy warto rozpaczać nad skrajem przepaści, która za chwilę może stać się grobem? W korytarzu rozległ się hałas. To wychodzili lokatorzy męskiego oddziału. Wala uciszyła trzy degeneratki i kazała im schować się pod „szpargami”. Sama przyłożyła oko do judasza. Wcisnęłam głowę w poduszkę, zasłoniłam uszy rękami, żeby nie słyszeć i nie widzieć otoczenia. A może to tylko sen? Jakże przeżyć, jak to znieść? Sylwestrowy wieczór. Święto. Próbowałam przywołać przeszłość z mroku czasu, wywoływać w pamięci obrazy i wydarzenia, które odeszły na zawsze...

Rok 1920. Witaliśmy jego nadejście w Oddziale Politycznym 13 Czerwonej Armii, w Białogrodzie. Białogwardziści opuścili Charków i Ziemiałczka pozwoliła nam spróbować zdobyczej czekolady, firmy Żorża Bormana. Cieniutkie tabliczki miały słodkawo-gorzki smak. Zdawało się, że nie jadłam nigdy nic smaczniejszego. Zaczynało się

życie, wypełnione tajemnicami i cudami. Wszystko mogło się zdarzyć, ale — sowieckie więzienie, etykieta kontrrewolucjonistki?! Zaczęłam jęczeć, jak zawsze, gdy starałam się zdać sobie jasno sprawę z sytuacji. Wala bezwstydnie uwodziła Tolika, który zaglądał przez otwór Judasza, podnosiła koszulę i śmiała się schrypniętym głosem, wykrzykując nieprzyzwoite zwroty.

Zamknęłam oczy i w myśli starałam się pokonać przestrzeń, oddzielającą mnie od moich. Tych kilkanaście domów i płotów, za którymi była ulica Potanina, nr 134, gdzie znajdowała się moja matka i moje dzieci. Wiedziałam z całą pewnością, że tej nocy nie spały. Ale byliśmy tak oddalone od siebie, jak gdyby między nami znajdował się cały wszechświat. O czym teraz rozmawiają? Czy są zdrowe? Co oczekuje nas wszystkich w przyszłości? Tęsknota ścisnęła głowę żelazną obręczą, przerywała oddech. Wywołano nas na korytarz. Każde piękno wywyższa człowieka i sprawia mu rozkosz, natomiast brzydota i brud dręczą i dławią ludzką świadomość. Oślizgły, cuchnący pleśnią i amoniakiem, zimny, mroczny korytarz tury, zbudowanej jeszcze za czasów Katarzyny Drugiej, jeszcze bardziej zwiększał cierpienie, ranił wzrok i węch i poniżał ludzką godność.

— Pyszyciasz się — śmiała się Generałowa — pochochas jakby swój dom rodzinny.

W ustępie Wala stanęła na czworakach i w umówionym miejscu, w szczelinie między kamieniami zaczęła szukać miłosnej epistoły od Tolika. Po znalezieniu „ksiwy” Wala zawsze stawiała się marzycielska.

— Frajerka — zwracała się do mnie prosząco — opowiedz-no o tej damie, którą po śmierci kochanek wykopał z grobu. To dopiero nazywa się miłość!

— Kameliowa dama? — pytałam. Do moich obowiązków należało teraz opowiadać albo wymyślać różne miłosne historie, ale takie, żeby były przejmujące i brały za serce.

Niekiedy Wala wspominała różne sprawy z własnego

życia, ale była tak załgana, że w żaden sposób nie mogłam zrekonstruować jej autentycznego życiorysu. Raz oświadczała, że jej prawdziwe imię jest Nadieżda, kiedy indziej, że Wiera albo Swietłana. Również nie byłam w stanie ustalić miejsca jej urodzenia. Jak wszyscy łgarze, Wala zapominała swoje uprzednie opowieści i łatwo plątała się w zmyślonych historiach. Opierając się na jej sposobie mówienia, wierzyłam w jedno — wychowała się gdzieś za Kottłasem. Pewnego dnia scena, jaka rozegrała się na moich oczach, wyjaśniła mi to i owo z życia tej niepoprawnej złodziejki, która miała być sądzona już po raz ósmy. Cele obchodził nowomianowany komendant więzienia. Ujrawszy go, Wala nagle gwałtownie zmieniła się. Na miejsce beczelnej pewności siebie przyszło wystraszone zagubienie — Wala odwróciła się do ściany. Komendant więzienia także nie potrafił ukryć niemiłego zdziwienia.

— Liza — powiedział okrutnym tonem — toś ty tu trafiła?!

Tego samego dnia oddziałowy wywołał Generałową; nie było jej około godziny. Wróciła milcząca, miała ze sobą paczkę papierosów, które wypaliła jeden po drugim. W odpowiedzi na pytania dam dworu obrzuciła je serią przekleństw najwyższej próby.

Ale już wieczorem wszystko było po dawnemu. Wala śpiewała chrapliwym głosem, stroiła miny, gadała bez przerwy i kłęła. Potem przykleiła się do judasza, bo zaczęto wyprowadzać z męskich cel, zaś w nocy wywołano ją do szorowania schodów — okazja, żeby spotkać się z ukochanym.

Na krótko przedtem, zanim zabrano mnie z karceru, Wala, która powróciła o świtaniu, przyniosła ze sobą kawałek gazety, do robienia skrętów. Gazeta. Kawałek życia, promień światła, żywy głos. Piłam każde słowo, jak wodę z górskiego źródła. Moja ojczyzna żyła w tych słowach, zwyciężała, huczała nowym budownictwem. Tam, po drugiej stronie nieprzeniknionego muru więzienia pi-

sarze tworzyli nowe, porywające książki, kompozytorzy — symfonie i pieśni, a lud wyśpiewywał je ochoczo. Jak wilgoć, zwracająca ziemi życie, wciągałam w siebie wiadomości o zwycięstwach i osiągnięciach, i to mi dawało siłę by lżej znosić cierpienia i czekać. Czekać, aż wymierzą mi sprawiedliwość, czekać aż rozplącze się kłębek oszczerstwa, fałszu i złośliwych oskarżeń.

Po kilku tygodniach wyprowadzono mnie z karceru i przeniesiono do ogólnej celi. W dalszym ciągu nie pokazywano mi nakazu aresztowania, ani aktu oskarżenia. Tak zresztą miało być jeszcze przez całe dwa lata. Po pierwszym badaniu, po którym zostało mi na zawsze kilka blizn na piersi, o nic mnie już więcej nie pytano.

Wala Generałowa zasmuciła się przy pożegnaniu.

— Niech się zamienię w gadzinę — powiedziała, chcąc w ten sposób wyrazić swoje najwyższe uznanie — z ciebie to by mogła być fajna złodziejka! Jak w celi znajdziesz „urki” powiedz im, że ja z tobą tsymam *blat* — zadna cię nie rusy. A jakbyś psypadkiem otsymała packę, nie zapomnij podzucić paliwo.

I takeśmy się rozstały.

Semipałatyńska tiorma, olbrzymi kamienny gmach, z mroczno-szarymi, lodowatymi korytarzami, śmierdzącymi ustępami, oknami przesłoniętymi przez drewniane tarcze, nie była w stanie pomieścić wszystkich aresztowanych, więc przerobiono na więzienie sąsiedni dom, który dawniej był, zdaje się, szpitalem. Umieszczono mnie właśnie tam. W celi obliczonej na siedemnaście osób znajdowały się 72 kobiety. W wielu oknach nie było szyb, mimo syberyjskich mrozów — w przeciwnym razie łatwo byłoby udusić się. Od kibla ciągnęło straszliwym smrodem. Na żelaznych łózkach, szczelnie ze sobą zsuniętych, kładły się po trzy kobiety pokotem. Za lepsze „komfortowe” miejsca uważano podłogę pod łózkami, bo tam można było leżeć nie tylko na boku, lecz i na plecach. Wszędzie w przejściach siedziały i leżały więźniarki. Hałas był wręcz niesamowity.

Za dnia aresztantki siedziały na przygotowanych węzełkach, licząc się z możliwością wywołania na etap lub do wewnętrznego więzienia. Co prawda, niektóre nie miały żadnych rzeczy. Sporo kobiet aresztowano na mieście i te nie miały ze sobą ani zmiany bielizny, ani sukienki. Pośrodku celi leżała na podłodze kobieta-szkielet. Nieszczęśliwa, opanowana spokojnym szaleństwem, wpatrzona w jeden punkt, poruszała wargami, bezmyślnie uśmiechnięta, odmawiała pożywienia, bredziła, wpadała w prostrację. Od przeszło pół roku trzymano ją w ogólnej celi. Dogorywała. Było również kilka kobiet brzemiennych i ciężko chora na malarię starucha. Gdy dostawała ataku, bardziej litościwe więźniarki przykrywały ją kupą łachmanów. Na początku otrzymałam miejsce tuż koło kibla. Ale zanim usadowiłam się wśród „politycznych”, zbliżyłam się do szalejących, rozwrzeszczanych „urek” i przekazałam im pozdrowienia od Wali Generałowej. To od razu stało się dla mnie godną zazdrości rekomendacją.

Miejsca bliżej okien uważane były za uprzywilejowane i ta część celi nazywała się „strzała”, widocznie jak gdyby chodziło o miejsca w szybkobieżnym pociągu. Przeciwległy kąt koło rozwalonego pieca, w którym nigdy nie palono, nazywano „błękitnym ekspresem”.

Uwięzione kobiety, spodziewające się rychłego uwolnienia... pochodziły przeważnie... poza Rosjankami były tam także Kirgizki, Tatarki, Gruzinki... kilka Polek i Rumunek... spotkałam także żony pracowników kolejowej linii mandżurskiej... w Charbinie... wszystkich oskarżono o szpiegostwo.

Jedna z nich, Olga Łobaczewa, wyglądała jakby zeszła z obrazu Rubensa... Olga była w odmiennym stanie... najbardziej cierpiała na myśl o losach mającego urodzić się dziecka.

Pewną staruchę posadzono za rzekomy współudział w sabotażu. Jej syn, dróżnik kolejowy... miał uszkadzać traktory...

Wkrótce starowina dostała wyrok. Kiedy dowiedziała się, że skazano ją na dwadzieścia lat, ukłoniła się sędziom w pas.

— Dziękuję wam, mili, że tyle życia mi wyznaczacie, ja już przecież skończyłam siedemdziesiąt trzy.

Szafiga, żona sekretarza okręgowego komitetu, bardzo ładna kobieta, udręczona stratą męża i dzieci, nigdy nie poskarżyła się ani jednym słowem na swój los i nigdy nie objawiała gniewu.

— Gdzie mąż — mówiła dydaktycznym tonem — tam powinna być również żona. Dzieliliśmy się we dwoje naszym szczęściem, trzeba dzielić się i nieszczęściem.

Na krótko przed aresztowaniem Szafiga skończyła instytut. Władza sowiecka dźwignęła ją, zrównała z mężczyzną, ale właśnie wtedy gdy osiągnęła niebywały dla kobiety azjatyckiej poziom kultury i wiedzy, czyjeś nadużycie strąciło ją na samo dno, jak tyle spośród nas. Szafiga odznaczała się dumą, była skryta i spokojna, niczym żona starożytnego samuraja. Złudzenie potęgowała delikatna, złotawa twarz i migdałowy wykrój oczu.

Dwie moce panowały w tej ogromnej celi, zaciemnionej przez drewniane tarcze nad oknami, prawie nigdy nie opalanej — głód i strach. Żywiono się przede wszystkim chlebem i jałową zupą na śmierdzących kościach. Kiedy dwóch tęgich kryminalistów wносиło do celi beczkę z więzienną lurą — tak zwaną *bałandą* — do trującego smrodu, idącego od kibla, dołączał się niemniej odrażający zapach zgniłego szpiku. Perłowa, niczym niemaszczona kasha stanowiła bardzo rzadki przysmak. Cukier wydzielano dwa razy w miesiącu w całkiem mikroskopijnych porcjach. Dzień po dniu opadały nasze siły. Jedne z nas milcząco znosiły stałe niedojadanie, inne wpadały w skrajne rozdrażnienie, stawały się skłonne do kłótni, w celi wybuchały swary i połajanki. Zazwyczaj właśnie w takich chwilach, wykorzystując ogólny rozgardiasz, przyciągający uwagę dozorców, udawało się nam przerzucić „ksiwkę” — kilka słów do sąsiedniej celi, zamienić parę słów



przez grube, obite żelazem drzwi. Dowiadywałyśmy się, czy gdzieś w sąsiedztwie są znajomi, co słyhać na wolności. Dwa razy dziennie wyprowadzano nas na podwórze, dla załatwienia różnych potrzeb. Czterech dozorców obserwowało nas ze swoich wieżyczek. Zresztą, pojęcie wstydu ulegało szybkim przemianom. W łaźni wodę podawali nam mężczyźni, odsiadujący więzienie za przestępstwa pospolite — ukarani dyscyplinarnie, albo defraudanci, złodzieje grosza publicznego, aferzyści — ludzie najbardziej cenieni we wszystkich zakładach penitencjarnych. Mimo że prowadziłyśmy nieustanną walkę z robactwem, wszy nigdy nie brakowało. Zgoliłam sobie włosy. W tym stanie beznadziejności, w jakim od dawna przebywałam, sprawiło mi to nawet jakąś gorzką satysfakcję. Z czasem przeniosłam się na łóżko; spałyśmy we trójkę na boku, od czasu do czasu przekręcając się na drugi bok, na komendę.

W nocy zabierano na badanie, a wtedy kładłyśmy się ubrane, gotowe do natychmiastowego poderwania się i przepęźnięcia do drzwi przez śpiące ciała.

— Wychodzić bez rzeczy — budził nas głos oddziałowego.

Również w nocy zabierano zaocznie skazanych na etap:

— Wychodzić z rzeczami.

Często śpiewałam, nie zwracając uwagi na zakazy.

Muzyczny żywioł uspokajał mnie, dawał równowagę duchową, ale co najważniejsze, dowiedziałam się, jak wielką ulgę przynosi mój śpiew aresztowanym. Śpiewałam pod oknem z rozbitą szybą, albo przy judaszu w drzwiach, żeby moje pieśni rozlegały się wzdłuż oślizgłych, martwych korytarzy aż do cel, gdzie siedzieli nasi bracia mężczyźni, żeby dobiegały aż do górnego piętra, skąd nie było już wyjścia — tam siedzieli skazani na śmierć. Budziłyśmy się w chwili, gdy ich w nocy wyprowadzano na egzekucję. Skazańcy oczekiwali na śmierć nieraz przez kilka miesięcy. Potworna biurokratyczna maszyna wyma-

gała zatwierdzenia wyroku w Moskwie, a tam nikomu nie zależało na skróceniu męczarni. Nie było nigdy na ziemi dłuższej agonii, niż agonია tych przeważnie niewinnych ludzi. Więc śpiewałam dla nich. Kobiety w mojej celi płakały i to przynosiło im ulgę. Kończyły się kłótnie, następował spokój. Wyraz oczu moich więziennych towarzyszek był mi droższy od najbardziej płomiennych oklasków, towarzyszących tryumfom Patty i Niezdanej.

— *Śpiewaj, kochana, chcę jeszcze raz usłyszeć twój głos w godzinie złej rozłąki.*

Wiedziałam, że całe więzienie uciszyło się i słucha. Nazwano mnie Orfeuszem w piekle. Kończyłam jedną pieśń i zaczynałam drugą. Mój głos brzmiał coraz pewniej, coraz mocniej.

*Szczęście moje, życie moje,  
wiem, że jedziesz sam, beze mnie...*

Wtedy zazwyczaj zjawiał się oddziałowy i ostrzegawczo stukał do drzwi.

— Przestać śpiewać! — ale ton jego głosu był zwykle jakiś nie bardzo przekonany.

Zdarzyło się, że jeden z moich listów, wysłany do znajomego więźnia, został przechwycony przez dozorcę. Znalazłam się w najgorszym karcerze, który znajdował się w korytarzu skazanych na śmierć. Przez siedem dni wypadało żywić się tylko wodą i trzystoma gramami chleba. Co prawda, niekiedy należała się również miska *batandy*.

Ulokowałam się na kamiennej posadzce. Przez okienko, przesłonięte drewnianą tarczą, widać było małutki skrawek błękitnego nieba. Niezwykła, przerażająca cisza panowała w tej części więzienia. Spróbowałam śpiewać. Ale do celi natychmiast wdarli się dozorczy i rzucili się...

mnie. Śmiertelny korytarz. Pukać w ściany było rzeczą niemożliwą, gdyż w celach ogólnych panowała nieustająca wrzawa, zaś w korytarzu skazańców pukanie dosłyszeli by natychmiast liczni strażnicy. W kromce chleba miałam schowany grafit z ołówka oraz parę bibułek do kręcenia tytoniu. Kiedy z rana znajomi posługacze-złodzieje przynieśli mi nieco gorącej wody, biorąc kubek, zrećnie wsunęłam „ksiwę”. Całe więzienie wiedziało, że w celach skazańców siedzą przeznaczeni na „górkę”, to znaczy na rozstrzelanie, młodzi kolejarze, oskarżeni o dywersję w transporcie i szpiegostwo. Byli wśród nich inżynierowie, maszyniści, zwrotniczy. Żony i matki niektórych z nich siedziały razem ze mną. Skazańcy czekali na egzekucję już od dwóch miesięcy. Ich męczarnię podzielali wszyscy więźniowie i każdy poranek rozpoczynał się u nas zawsze tym samym pytaniem — wyprowadzili ich w nocy, czy nie?

Widziałam jak szybko siwiały włosy żony jednego ze skazańców i jak od ciągłego płaczu traciła wzrok stara matka drugiego. Wszystkie wierzyłyśmy w ich niewinność, wszyscy im współczuli i żalowali, jak gdyby chodziło o własnych braci i ojców. Toteż wielką radość, prawdziwe święto przyniósł dzień, w którym z Moskwy przyszło ułaskawienie dla trzech oskarżonych o dywersję, lecz absolutnie niewinnych ludzi — inżyniera Ratkowskiego, czekisty Szachowa i technika Borisiuka. Cieszyliśmy się tak, jak gdyby ci nieznani, ocaleni ludzie, którzy przesiedzieli kilka miesięcy w celi dla skazańców, byli najbardziej bliskimi i drogimi osobami na ziemi.

Podczas odsiadki w karcercu przekazałam przez posługaczy liścik Griszy Klimence, jednemu ze skazańców. Poinformowałam go o kolejarzkich kobietach, które siedziały razem ze mną, i starałam się choćby trochę wlać otuchy w jego zdrętwiałe w rozpacz serce. Na drugi...

*(brak jednej strony)*

... Życie jak żarna, miele wszystko — nieszczęście i

radość unosi wzwyż, rzuca na dół. Uwięzione kobiety wrastały w swoje nieszczęście i przyzwyczajały się do niego. Wszystkie bez ustanku poszukiwały jakiegoś zajęcia, żeby tylko zabić czas, zapomnieć o ssącym głodzie, o przerażeniu przed badaniem, o wszystkim. Sprzątanie celi nie przedstawiało żadnej trudności, bo prawie całą przestrzeń zajmowały więźniarki. Łatwo było wyszorować cement podłogi w wąziutkim przejściu i tu i ówdzie pod łózkami. Wszystkie chciałyśmy brać udział w wynoszeniu kibla; przy okazji można było przyjmować i przekazywać „pocztę”, a tym samym zbierać różne wiadomości, nazywane w więzieniu właśnie „kiblamy”. Dowiadywałyśmy się o nowych więźniach, o wyrokach, o zapowiadanych wysyłkach na etap, o amnestii. Obiecywałyśmy ją sobie nawzajem na 7 listopada, na Pierwszego Maja, na wszystkie zwycięskie rocznice. Czekaliśmy na przybycie wolności. Mówiliśmy, że to niemożliwe, żeby tam, w Moskwie, nie przejrzano, żeby nie zrozumiano, że jesteśmy niewinni, nie przerwano prześladowań, a najważniejsze, żeby się nie zorientowano, że w organach bezpieczeństwa działają spiskowcy, agenci burżuazyjnych wywiadów, którzy więżą sowieckich ludzi, komunistów, i zabijają ich w więzieniach. Więc ciągle czekałyśmy z nadzieją.

Niezmiernie rzadko — przeważnie w święta — ogłaszano, że przybył „sklepik”, a wtedy, kto miał zaświadczenie na posiadane pieniądze, mógł kupić chleb, cukier, machorkę, zapalki. Całymi dniami aresztantki wyszywały, a ponieważ nitek nie było, wyściubywano je z kolorowej, trykotowej bielizny, albo z różnych gałganów. Pruto pończochy, żeby robić szydełkiem, przędzono wate, wyciągniętą z palt, a następnie na patyczkach własnego wyrobu, imitujących druty, robiono skarpetki i rękawiczki. Większość z nas siedziała już około roku. Stopniowo na wszystkich naszych rzeczach, nie wyłączając worków, zaczęły pojawiać się skomplikowane hafty. Cieszono się

z każdej dziury w pończosze, bo wtedy można było zająć się cerowaniem. Książek nie miałyśmy. Układałyśmy teksty piosenek na najbardziej znane melodie i wyśpiewywałyśmy je półgłosem.

Na badania więźniarki były wzywane rzadko. Ale w mieście było także wewnętrzne więzienie NKWD i tam były zazwyczaj przeprowadzane wszystkie badania.

W lecie w semipałatyńskim więzieniu wybuchła straszliwa epidemia dyzenterii. Wycieńczenie więźniów sprzyjało chorobie i śmiertelności. Ja także zachorowałam i znalazłam się w więziennym szpitalu, organizowanym w pośpiechu w jednej z podwórzowych oficyn. Wyznaczono mi łóżko obok młodej kobiety o nazwisku Moczadze. Margot Moczadze. Miała taką twarz, z której nic w pamięci nie pozostaje, tak bardzo była pozbawiona choćby jednej indywidualnej cechy, czy właściwości. Wydawało się nawet, że jest dość ładniutka, a jednak nic po niej w mojej pamięci nie zostało, oprócz nowiutkiej laski, na której się opierała, uskarżając się na bóle w pasie. Wyszło na jaw, że Margot jest pierwszą, rozpoznaną przeze mnie „kokoszką”, jak nazywano w więzieniu osoby podstawione w prowokacyjnym celu. Nazywano je także „stukaczami”.

Margot ustosunkowała się do mnie wyjątkowo uprzecznie i troskliwie nawet poczęstowała mnie białymi sucharkami i czosnkiem. Zaraz zaczęła rozmowę o tym jaka zła jest sowiecka władza, czym natychmiast nie tylko wzbudziła we mnie czujność, ale również i oburzenie. Nie podtrzymałam jej wywodów, a wtedy Margot oświadczyła, że wstydzi się przynależności do narodu, który wydał takiego potwora, jak Stalin. Tak właśnie powiedziała, demaskując się tym samym ostatecznie. W warunkach więziennych owego czasu tego rodzaju oświadczenie mogło kosztować życie zarówno tego, kto to mówił, jak i tego, kto słuchał.

Na cały głos, tak żeby słychać było w całej sali, gdzie oprócz mnie znajdowały się trzy cyganki-worożychy i

Tośka-prokurator, zwymyślałam Moczadze i natychmiast zażądałam, żeby mnie przeniesiono na inną salę. Następnego dnia dowiedziałam się, że Moczadze znikła i nawet zapomniała zabrać swoją laskę.

Wkrótce pozwolono mi pielęgnować chorych, gdyż z wolności nikt nie chciał przychodzić, w obawie przed zarażeniem. W ciasnych klitkach, przeważnie na podłodze, leżeli ciężko chorzy. Leczyła ich felczerka Sońka, zwana Żółtą Rączką, która zjawiała się w tym piekle nie częściej niż raz na trzy dni.

Wysztafirowana, przesadnie wymakijowana, zawsze w towarzystwie kolejnego amanta, kogoś z dyrekcji więzienia, Sońka przechodziła koło chorych, marszcząc się ze wstrętem i oskarżając ich, że udają.

— Dostyc już tej symulacji — krzyczała do więźniarki podobnej do kościotrupa i spływającej krwią, tak wyścieńczonej przez dyzenterię, że trudno było określić jej wiek — mnie nie oszukacie, dość już i tego, żeście zdradzili władzę sowiecką!

— A ja was wywiode w pole, i was i sędziego śledczego — ledwie poruszając językiem, odpowiadała umierająca. — Wszystkich was oszukam, umrę, słyszycie, umrę dziś jeszcze...

Umierano w więzieniu bez walki o życie, często bez jednego jęku. Żywi zazdrościli umarłym. Zdarzyło się, że do szpitala przyszedł lekarz. Ze zmieszaną miną przeszedł przez wszystkie pokoje, gdzie bez żadnej separacji leżeli razem chorzy na tyfus brzuszny, dyzenterycy i konający na biegunkę.

— Tak — wycodził doktor ponuro — to przecież nie szpital, to kostnica.

Nie mógł się widocznie powstrzymać, bo usłyszałam, jak dodał szeptem:

— Przecież za takie zbrodnie tego i owego należałoby powiesić.

Przy pomocy Tośki i Maszki bez przerwy robiłyśmy lewatywy z nadmanganianu — jedyny posiadany przez

nas środek. Pomagały nam również dwie Cyganki, które dostały się tu za wróżenie z kart i za drobne kradzieże, oraz jakaś akuszerka, ledwie poruszająca się od nadmiernej tuszy. Ta otrzymała wyrok za poronienia, które kosztowały życie jakichś dziesięciu pacjentek. Grubaska ta była straszliwie żarłoczna i objadała chorych.

Któregoś dnia wywołano mnie ze szpitala do naczelnika więzienia. Zawiązałam chustę na czole tuż nad brwiami, tak jak nosiły się kryminalne więźniarki, i poszłam za dozorcą.

— Legawę psy przyjechały, trzymaj fason! — krzyknął mi na podwórzu Żorka-Krzyworączka, śmiały watażka wszystkich kryminalistów.

Po wejściu do czystego, wymalowanego na biało gabinetu rzuciłam spojrzeniem na portrety znajdujące się na ścianie. „Jeżow jeszcze tu jest — stwierdziłam w myśli smutną prawdę — a więc, przeklęty, wciąż jest górą”. Dopiero potem spojrzałam przed siebie. Rozwalone w fotelach siedziały ważne figury ze związkowej prokuratury.

— Sieriebriakowa — zaczął jeden z nich, gładząc rzadkie włosy różową, wypieszczoną ręką o krótkich palcach. — Nie mogę was poznać. Do kogo jesteście podobni? Żeby tak nisko upaść w takim krótkim czasie! Wstyd! Słyszałem już to i owo na ten temat, ale przyznaję, że nie wierzyłem. Pisarka, żona wprawdzie przestępcy, ale jednak byłego ludowego komisarza, córka, jak się zdaje, bolszewików! Do kogoście się upodobnili, przecież wstręt wzbiera, gdy się na was patrzy...!

— ... zupełnie wygląda jak kryminalistka — przytaknął, chichocąc naczelnik więzienia.

— Tak, tak, nie spodziewaliśmy się, że tak szybko zaczniecie zachowywać się w taki sposób — w ślad za słowami szedł pogardliwy gest i spojrzenie. — Dlaczego nie odpowiadacie?

— Proszę bardzo. Wiecie, w swoim czasie bardzo dokładnie studiowałam Darwina. Otóż Darwin, w swoim

opisie podróży na statku „Beagle”, radzi, że jeśli ktoś trafi na wyspy, zamieszkałe przez dzikusów, to żeby nie zginąć i przeżyć, powinien przystosować się do obyczajów tuziemców, przejąć ich sposób bytu i ubioru. Wtedy tylko można ocaleć, przyzwyczaić się do warunków. Rzuciliście mnie do więzienia. No, cóż! Przyjrzałam się i zdałam sobie sprawę, że wytrzymuje tylko ten, kto zdobywa się na równowagę ducha. Ludzie z mego środowiska — artykuł 58 — giną w tej kloace, na tym ohydny dzień. A ja postanowiłam przeżyć i staram się zachowywać identycznie jak ci, którzy łatwo przystosowują się nawet do takich warunków.

Wyższa władza wymamrotała w odpowiedzi coś niezrozumiałego.

— Czy są jakie prośby? — suchym tonem zapytał, ściągając brwi, prokurator z Moskwy.

— Owszem, są. Proszę zwrócić uwagę na potworne warunki w więziennym szpitalu, na odsetek śmiertelności.

— Od tego są lekarze.

Zaczynała się złowieszcza jesień 1938 roku. Żeby zaśluzić się przed Stalinem, Jeżow szalał coraz bardziej.

Moja matka i Zoria kryły się w cieniu więziennych murów i, pomimo groźnych krzyków wartowników, nie odchodziły. Czekwały, aż otworzą się bramy, i przy świetle latarni próbowały dojrzeć, kogo wywożą — mężczyzn czy kobiety, i czy nie ma i mnie w tym milczącym, pokornym tłumie. Jednak „trójka”, sąd NKWD przy okręgowym zarządzie w Semipałatyńsku, nie mogła zdecydować się na rozprawienie się ze mną bez specjalnych wskazówek Moskwy, a tam mieli ważniejsze sprawy na głowie. W ten sposób ocalałam.

Pewnej nocy obudził nas głos jednej z koleżanek celi, która właśnie wróciła z badania.

— Towarzyszki! Jeżowa już nie ma. Przysięgam na moje dzieci — nie ma.

Wszystkie zerwały się ze swoich miejsc równie gwał-



townie jak na magiczny okrzyk: — Zbierać się z rzeczami! Nie bardzo chciałyśmy wierzyć.

— Jak to nie ma Jeżowa? Skądś to wzięła?

— W gabinecie mojego śledczego usunięto jego portret. Na ścianie tylko ciemna plama pozostała. Śledczy zachowywał się w stosunku do mnie całkiem grzecznie, nawet pozwolił na otrzymanie przesyłki.

Działo się to na początku grudnia 1938 roku. Następnego dnia przyprowadzono ledwie co aresztowaną komunistkę, uprzednio zesłaną. Nazywała się Mery. Zarzuciliśmy ją pytaniami. Opowiedziała, że Jeżow został pozabawiony stanowiska, a na jego miejsce naznaczono Berię.

— To lepiej — wypytywałyśmy — czy gorzej?

Nikt nie był w stanie na to odpowiedzieć. Byłyśmy zbyt sceptyczne, żeby zdobyć się na radość. Mary opowiedziała mi o rozpaczliwej sytuacji mojej rodziny. Początkowo nie mogłam tego zrozumieć.

— Przecież zostawiłam pieniądze, rzeczy, a wreszcie matka nie jest karana politycznie.

— Na wszystko nałożono sekwestr, nawet na bieliznę dzieci, wszystko z domu zabrali. Wasza matka i córka głodują, sprzedały zegarek, palto, żeby tylko móc wam pomagać. Nawet domek, chociaż był kupiony na nazwisko waszej matki, uległ sekwestrowi. Od dnia waszego aresztowania nic do nich nie należy. A przecież to już minął cały rok.

Gdy zdałam sobie ze wszystkiego sprawę, dostałam ataku spazmatycznego płaczu, zaś nazajutrz ogłosiłam całkowitą głodówkę aż do śmierci, odmawiając przyjmowania pożywienia i picia.

Natychmiast przeniesiono mnie do pojedynczej celi, gdzie wypisałam moje żądania.

1) Natychmiastowy zwrot rodzinie wszystkich zajętych rzeczy i zdjęcie sekwestru.

2) Wręczenie aktu oskarżenia.

3) Wdrożenie postępowania sądowego.

Przez pierwsze trzy dni leżałam w mikroskopijnej celi

bez wody i jedzenia. Wydawało się, że wszyscy już o mnie zapomnieli.

Trzeciego dnia było potwornie ciężko. Pragnienie doprowadzało mnie do szaleństwa. Czwartego dnia myśl o wodzie stała się obsesją, w krtani pojawił się smrodliwy zapach i sprawał duszności. Wargi spuchły. Piąty dzień przyniósł ze sobą koszmary i przywidzenia — wydawało mi się, że ze wszystkich stron leje się woda. Bulgotała w uszach, ściany zamieniły się w wodospady. Szóstego dnia męczarnia zmniejszyła się. Byłam całkowicie zamroczona, na ciele pojawiły się brunatne, jak gdyby trupie plamy. W świadomości wszystko się ze sobą plątało. Bolały popękane wargi i olbrzymi wyschnięty język. Chwilami ogarniał mnie niewypowiedziany błogostan. Leciałam w powietrzu. Siódmego dnia zainstalowano w celi starszego, milkliwego żołnierza-Ukraińca, żeby mnie pilnował. Obawiano się, że popełnię samobójstwo. Ale już nie odczuwałam żadnych cierpień. Umierałam pogrążona w półśnie. Wieczorem przyszedł prokurator, za nim naczelnik więzienia, oddziałowy, jeszcze paru dozorców, a z tyłu pokazała się Sońka-Złotarączka, niosąc lejek, sondę i ronderek.

Próbowali mnie nastraszyć, że głódówka stanowi antysowiecki akt, który potwierdza moją winę. Obiecywali, że spełnią wszystkie wysunięte żądania, jeżeli sama zaczęję jeść i pić. Skołowaciałym językiem powtarzałam ciągle jedno i to samo:

— Nic wam nie wierzę. Będę głodować dopóki mi nie przyniosą, według moich wskazówek, szeregu rzeczy, abym mogła przekonać się, że znajdują się znowu w domu. Jednocześnie zaczynajcie śledztwo. To już rok, odkąd jestem uwięziona, bez rozkazu aresztowania, bez aktu oskarżenia...

— Karmić ją na siłę i niech zdycha — wymuszonym tonem rozkazał prokurator. Sońka natychmiast zaczęła działać. Zbliżyło się dwóch dozorców, jeden usiadł mi na nogach, drugi chwycił za ręce.

— Na pewno dostanie raka żołądka — radośnie powiedziała Sońska.

— Dobrze jej tak — apatycznie potwierdził naczelnik więzienia, któremu swoim postępowaniem przyczyniłam już wiele kłopotów. Dokładnie wykonywał wszelkie polecenia władzy, osobiście jednak większą aktywnością w gnębieniu więźniów nie odznaczał się i teraz, kiedy zaczęto mnie karmić siłą, odwrócił się ku ścianie.

Oddziałowy przygwoździł dłonią moją głowę do podłogi, podczas gdy Sońska szybko wsadziła sondę do nozdrza. Jak zwykle stroiła grymasy, wydymając wymalowane usta i ciasno obciśnięty biust.

— Lewe nozdrze ma bardziej wąskie — chichotała Sońska — to jej tam sondę wstawiłam. — Nie miałam siły do obrony, a zresztą ból, wywołany przez brutalne wpychanie sondy, natychmiast spowodował omdlenie. Kiedy odzyskałam przytomność, Sońska zastrzyknęła kamforę w moje przedramię. Po czym ponownie wsadziła sondę przez nozdrze.

— Rybiego tłuszczu żeśmy nie pożałowali i wleliśmy do rosołu, a wy wciąż jesteście niezadowolona. Już tak się o was staramy. Tylko że raka żołądka na pewno dostaniecie. Na pewno.

Przez osiemnaście dni odmawiałam pożywienia i dwa razy dziennie felczerka Sońska karmiła mnie sztucznie, w obecności prokuratora lub naczelnika więzienia. Pomagali jej dozorczy. Siedemnastego dnia prokurator przyniósł list od Zori, która błagała mnie, żebym przerwała głodówkę, grożąc, że w przeciwnym razie także się zagłodzi. Osiemnastego dnia zwrócono mojej rodzinie zabrane rzeczy, z wyjątkiem zegarka, który po prostu został przez kogoś skradziony podczas rewizji.

Istotnie, sytuacja mojej matki i dzieci, od chwili mego aresztowania, stała się katastrofalna. Wszystko, co przestawiało jakąś wartość, zostało albo zabrane, albo opieczętowane. Matce nie udało się otrzymać żadnej pracy. Zgodnie z tym, co mi po przybyciu do celi opowie-

działa komunistka Mery, sprzedały wszystkie drobiazgi, jakie im pozostały, nawet zabawki Łanoczki. To dało im możliwość jako tako przebiedować, a nawet posyłać mi paczki, na których otrzymywanie od czasu do czasu miałam pozwolenie. Dochodziły więc do mnie i moich więziennych koleżanek bułki i najtańsze cukierki ślazowe. Matka i Zoria zwracały się niejednokrotnie do Moskwy i Ałma-Aty, skarżąc się pisemnie na bezprawną konfiskatę, ale odpowiedzi nigdy nie otrzymały.

Rozpoczęłam głodówkę wkrótce po zniknięciu Jeżowa, kiedy to na jakiś czas nieco złagodniał regulamin więzienny i miejscowe sądy-„trójki” przestały wydawać wyroki śmierci. Widocznie to krótkie złagodzenie terroru sprawiło, że nie pozwolono mi umrzeć z głodu i pragnienia i że w siedemnastym dniu mojej głodówki prokurator odwiedził moją rodzinę. Po sprawdzeniu stopnia nędzy, w jakiej znajdowały się moja matka i dwie dziewczynki, poinformował je, że skazałam siebie na głodową śmierć. Rozpacz matki była bezgraniczna. To wtedy właśnie Zoria napisała list, grożąc, że ona także rozpocznie głodówkę, jeżeli w dalszym ciągu będę odmawiać przyjmowania pożywienia.

Prokurator polecił wydać wszystkie zabrane rzeczy mojej rodzinie. Mój dziennik, korespondencja z lat wojny domowej, brulion rozpoczętej książki, oraz mnóstwo autografów pisarzy i historyków — wszystko to zginęło bez śladu. Kiedy przyniesiono i pokazano mi niektóre podręczne przedmioty, jako dowód, że sekwestr został zdjęty, przełknęłam pierwszą łyżkę rosołu i rozpłakałam się gorzko. Tak bardzo pragnęłam umrzeć.

Po dwu i pół latach nieprzerwanych cierpień, mając przed sobą przyszłość, być może, jeszcze gorszą i niepewną, powrót do życia nie był rzeczą łatwą.

A po dwóch tygodniach przewieziono mnie do wewnętrznego więzienia na śledztwo.

## R O K 1939

Więzienie wewnętrzne znajdowało się w podwórku okręgowego zarządu NKWD i zewnętrznie niczym się nie wyróżniało, chyba tylko olbrzymimi drewnianymi tarczami, całkowicie zasłaniającymi okna. Dwupiętrowy, otynkowany gmach w kształcie kwadratu, drewniane wewnętrzne schody, wyściełone grubym, zagłuszającym kroki chodnikiem — to wszystko, co mi rzuciło się w oczy, gdy milczący konwojent przyprowadził mnie do żelaznych drzwi z wielkim zamkiem. Cella, do której mnie wprowadzono, była wąziutka, miała podobne do szczeliny zakratowane okienko pod samym sufitem, całkowicie zaciemnionym przez drewnianą zasłonę. Wyszła mi naprzeciw kobieta o nadętej, wodnistej twarzy koloru ziemniaków, przerośniętych w piwnicy. Pomimo styczniowych chłódów, miała na sobie wypłowiałą od częstego prania, markizetową sukienkę i zupełnie zniszczone pantofle z białego płótna. Przerzedzone długie warkocze, przewiązane strzępem bandaża, opadały poniżej pasa. Widząc moje zdumione spojrzenie, powiedziała, jak gdyby chciała się usprawiedliwić:

— Aresztowali mnie w lipcu, na ulicy i od tego czasu, jak widzicie, nie pozwalają mi przynieść nic ciepłego z domu. — Nagle głośno rozplakała się, machnęła bez nadziejnje ręką i dodała przez łzy:

— A czy w ogóle pozostał mi jakiś własny kąt na świecie? Tego śledczy nie mówi. Tam zostały dwie małe dziewczynki, w obcym mieszkaniu, całkiem osamotnione, bez opieki, bez pieniędzy. My przecież jesteśmy z Leningradu — zesłańcy.

Nie przeszkadzałam jej płakać i o nic nie pytałam, żeby nie jętrzyć rany. Długo siedziałyśmy na żelaznym łóżku, trzymając się za ręce, jak gdybyśmy się znały ze sobą od bardzo dawna.

— Jak się nazywacie? — zapytałam nieco później.

— Władimira Iwanowna. A wy?

W więzieniu, podobnie jak w dalekobieżnych pociągach, znajomości nawiązują się natychmiastowo.

Wieczorem, kiedyśmy kończyły jeść *batandę*, przyprowadzoną pęcakiem, co wydało mi się szczytem gastronomicznego przepychu, Władimira Iwanowna opowiedziała mi swoją historię. Była proletariackiego pochodzenia i sporo lat przepracowała w jednej z petersburskich fabryk. Zaraz po Październikowej rewolucji wstąpiła do Partii i jej życie od owej chwili nabrało nowego, urozmaiconego sensu, a przyszłość zapowiadała się jak najlepiej. Trochę się kształciła, była niejednokrotnie wybierana posłanką do rejonowego Sowietu, często zabierała głos na trybunie i kiedyś Zinowiew usłyszał jej przemówienie. Ani przedtem ani później nigdy go nie widziała. Na jej nieszczęście, właśnie tamtego wieczora, na owym zebraniu, Zinowiew, który przemawiał ostatni, pochwalił przemówienie Władimiry Iwanowny. Minęło kilka lat. Wyszła za mąż za marynarza, urodziła córki, w dalszym ciągu cieszyła się zaufaniem i sympatią robotników fabryki, aż jakiś wróg publicznie przypomniał jej o nieszczęsnej pochwie wygłoszonej przez jednego z przywódców późniejszej opozycji.

Wszystkie jej starania, żeby udowodnić, że nigdy nie odchodziła od leninowskiej linii Partii, nic już jej pomóc nie mogły. Najpierw wysłali ją z Leningradu na pięć lat. Mąż ją opuścił. Zaczęły się niezliczone upokorzenia, bez-

robocie i nędza. Ale leningradzka robotnica lubiła pracować. Pracowała w ogrodach, wynajmowała się jako nianka i wreszcie udało się jej urządzić na posadzie sprzedawczyni pierożków w miejscowym kombinacie mięsnym. Dzieci mogły znowu wrócić do szkoły.

— Żadnej roboty się nie boję, a ot, jak nie ma pracy, wtedy strach — powtarzała Władimira Iwanowna, ze smutkiem oglądając swoje poblądłe i zwiotczałe od długiego próżnowania ręce.

Badali ją z całą surowością. Przez dziesięć dni trzymano ją na tak zwanym „konwejerze”: zmieniali się sędziowie śledczy, a ona za dnia i w nocy, bez snu i prawie bez jedzenia, zmuszona była do odpowiadania, stojąc. Niejednokrotnie ją bito, żądając podpisu pod kłamliwymi, opartymi na fałszywych świadectwach zeznaniami.

— I co, podpisaliście? — pytałam, cała wzburzona.

— A cóż miałam robić? Chcieli dzieci wsadzić do więzienia, wymęczyli tak, że rozum zaczynał mi się mieszać, już nawet nie wiedziałam gdzie jestem. No, więc podpisałam, a co mianowicie, nawet dobrze teraz nie pamiętam. Czekam teraz na łagier, jak na zmiłowanie, obiecują, że więcej niż dziesięć lat nie wrzepią. Były by tylko dowiedzieć się o dzieciach, że żyją i ktoś je przygarnął, a może też jakieś szmatki przydzielą. Przecież chyba w takim stanie mnie nie wyślą. Toż wstyd prawdziwy — bielizna cała w strzępach, jak sito, zaś obuwie...

Zdjęła pantofle i pokazała mi dwie dziurawe na wylot podeszwy.

— Powyrywałam trochę włosów, dobrze że same wyłazły, poskręcałam je i jako tako pozatykałam dziury, bo by nie było w czym iść na badanie, a na spacery to już od czterech miesięcy nie wychodzę — bez odzienia, bez obuwia...

Słuchając Władimiry Iwanowny, przypomniałam sobie, że w worku mam jeszcze trzy pary pończoch, i już chciałam wstać, żeby natychmiast się z nią podzielić, ale podły wewnętrzny głos mnie powstrzymał.

„Jeszcze jest na to czas” — usprawiedliwiał się sumienie.

Siedziałam w więzieniu przeszło rok, a ciągle jeszcze nie zdobyłam się na zrozumienie tego jedyne, niewątpliwego prawa, które powinno panować w stosunkach między ludźmi, dzielącymi to samo niezasłużone nieszczęście. To prawo mówi: — Pomagaj innym, nie oczekując niczego w zamian. Pomagaj zawsze i wszystkim. A wtedy i tobie ktoś pomoże, ktoś spotkany przypadkowo na męczeńskiej drodze. Przeżyć można, jedynie wypełniając to przykazanie, zasadę nielegalnej kasy wzajemnej pomocy. Zaś inne kalkulacje w tym strasznym świecie, gdzie błądzimy po ciemku, prowadzą do nieuniknionego bankructwa. Nie zwlekaj!

Niestety, wtedy tego nie rozumiałam i pozwoliłam by splamiło mnie podstępne, nędzne wyrachowanie. Wydawało mi się, że matka i Zoria nie będą w stanie więcej mi pomagać, więc trzeba dbać o siebie na przyszłość. Wmówiłam w siebie, że ponieważ moja rodzina ma ciężkie życie, nie mam prawa rozdawać rzeczy, na które nie zarabiam własną pracą. Gdy chodzi o uzasadnienie złych czynów, zawsze umysł znajdzie odpowiednią rację. Ale życie natychmiast dało mi... lekcję.

*(Tekst jednej strony jest prawie nieczytelny. Można jedynie domyśleć się, że autorkę zabrano na badanie, z którego wróciła do celi po pewnym czasie. Ale Władimiry Iwanowny już tam nie zastała. Nowa towarzyszka pouczyła ją, że można kontaktować się z sąsiednią celą, gdzie siedzą mężczyźni. W ścianie tuż przy podłodze jest otwór przez który przechodzi drut, i można przeciskać grypsy).*

— Ale — rozpytywałam w dalszym ciągu — czym pisać?

— Tu macie kilka kryształków nadmanganianu potasu do płókania dziąseł, żeby nie krwawiły z powodu awitaminozy. To doskonale zastępuje atrament. Ale trze-



ba zachowywać maksymalną ostrożność. I proszę pamiętać — trzy uderzenia w ścianę oznaczają, że drut znajduje się w otworze.

Wieczorem zostałam sama w mrocznej ponurej celi, sama jedna na wiele miesięcy.

Przy wydawaniu cieniutkiej zupki z kaszą, bez śladu tłuszczu, rozległy się trzy stuknięcia w ścianę. Nie odrywając wzroku od judasza, zniżyłam rękę i pod przyścienne listwą namacałam koniec drutu. Udało mi się go wyciągnąć i wyjąć karteczkę obwiązaną cieniutką nitką. Piotr zapytywał kogo przyprowadzili do celi. Hałas wywołany moim przybyciem zwrócił jego uwagę. Na bibułce do palenia wypisałam kryształkiem potasu dane o sobie i gdy wydawano kolację — nadzór był wtedy słabszy — przekazałam gryps. Tak zaczęła się nasza znajomość. Piotr i Martin przeszli podczas śledztwa przez piekielne męczarnie i oszkalowali samych siebie: podpisali zeznania, że byli agentami obcego wywiadu, szpiegami i dywersantami. Oskarżono ich z artykułów mówiących o terrorze i zdradzie ojczyzny.

Teraz oczekiwali na wyjazdową sesję Wojskowego Kolegium Najwyższego Sądu i spodziewali się wyroku śmierci. Nie było prawie żadnej nadziei, że zechcą ich wysłuchać i zrozumieć w jakich warunkach sami siebie oskarżyli.

Piotra żarła straszliwa tęsknota za synem.

„Kiedy mnie już nie będzie, niech mój chłopiec nie wątpi w uczciwość swego ojca i jego wierność komunizmowi, niech mi uwierzy. Pragnąłbym, aby nad jego łóżeczkiem zawsze wisiła moja fotografia, a na niej jego ojciec w marynarskim mundurze. Jako komsomolec, odbywałem służbę we flocie. Oto zbliża się wiosna, przyroda ożyje, a my położymy się do mogił”.

Martin, stary bolszewik, dobrze znał mego ojca od najpierwszych dni Październikowej Rewolucji. Razem walczyli na frontach wojny domowej.

Niezależnie od tematu, poruszanego przez moich są-

siadów, zawsze „grypsy” kończyły się smutnymi rozmyślaniami o zbliżającej się śmierci. Do tego dochodziły prośby, żebym zapewniła wszystkich, że byli niewinni.

Kiedyś poprosili, żebym opisała moją powierzchowność. W naszej mrocznej, beznadziejnej sytuacji była to prośba tak nieoczekiwana, że się całkowicie zmieszałam. Najpierw, powodowana kobiecą kokieterią, usiłowałam się upiększyć...

*(Uszkodzona stronica. Między sąsiadami z pobliskich cel nawiązała się stała korespondencja, głównie między Sieriebriakową i Piotrem; Martin pisał o wiele rzadziej. Z czytelnych urywków zdań na zniszczonej kartce można wywnioskować, że na tym tle doszło do konfliktu między mężczyznami. Wreszcie Piotr zakochał się w Sieriebriakowej na „niewidzianego” i każda kolejna epistoła przynosiła płomienne wyznania miłosne. Są tu jakieś trudne do odcyfrowania aluzje do kochanków z powieści Stendhala. Niektóre listy Piotr z braku czego innego pisał własną krwią).*

Wiedziałam, że jeżeli zapadł wyrok śmierci, to skazańca przyprowadzą do celi, pozwolą mu zabrać rzeczy i zawiozą do miejskiego więzienia, gdzie przez długie miesiące będzie czekać na wykonanie wyroku albo na ułaskawienie.

Przyszedł wieczór. Więźniów wyprowadzono i pozamykano ponownie. Nagle otworzyły się i trzasnęły sąsiednie drzwi. Natychmiast rozległo się siedem uderzeń, a następnie dwa i znowu pięć. W otworze namacałam drut. Piotr pisał, że sędziowie dali wiarę jego zeznaniom.

„Jeżowszczyzna skończyła się — dodawał w zakończeniu — wkrótce wszyscy znajdziemy się na wolności, moja sprawa zostanie zrewidowana. Żyję, będę żyć, kocham cię”.

Moja korespondencja z Piotrem trwała już od dwóch miesięcy i nigdy dotąd straż więzienna nie powzięła żadnego podejrzenia. Początkowo, kiedy nachylałam się żeby

wyciągnąć gryps spod listwy, nie odrywałam oczu od judasza, dostawałam bicia serca, ogarniał mnie strach. Zazwyczaj w tym czasie „podglądający” zajęty był kontrolowaniem wydawania pożywienia, albo towarzyszył wyprowadzanym więźniom. Stopniowo jednak przyzwyczaiłam się i przy otrzymywaniu i przekazywaniu grypsów zaczęłam zachowywać się nieostrożnie, licząc na szczęście. I szczęście towarzyszyło mi nieodmiennie.

Martin i Piotr pokłócili się już dość dawno, ich przyjaźń zamieniła się we wrogość. Dawniej, kiedy jeden z nich pisał, drugi stał na „porucie”, zasłaniając sobą otwór judasza. Ale teraz jeden drugiemu już nie pomagał. Wartownik wyszedł Piotra i złapał go na gorącym uczynku, po nagłym otwarciu drzwi. Gwałciciel regulaminu włożył karteczkę do ust i usiłował ją połknąć, ale powalono go na podłogę i wyciągnięto niedostatecznie zżuty skrawek papieru. Wieczorem obydwu więźniów zamknięto w karcerze, a mnie wywołano do naczelnika więzienia. Było już tam kilku śledczych.

— Od jak dawna go znacie?

— Niestety, nie widziałam go nigdy w życiu.

— Więc dlaczego nazywa was jedyną i ukochaną? Toż to jakieś diabelskie sztuki! Z dokumentów waszej sprawy nie wynika, żeście się kiedykolwiek spotykali. Wyjaśnijcie, jak i kiedy zdołaliście go tak oczarować.

W taki sposób skończył się mój zaoczny, epistolarny romans z Piotrem.

Od chwili, gdy zniknęli dwaj moi sąsiedzi, zaczęła się dla mnie tortura samotności. Grożąc głódówką, zażądałam książek, i Zoria otrzymała pozwolenie przekazywania mi ich od czasu do czasu, za pośrednictwem śledczego wydziału.

Minęło lato. Całe dnie spędzałam pochłonięta lekturą i marzeniem. Przeczytałam za jednym zamachem „Genetykę” Dolone, przejęłam się fizjologią roślin Liebicha, uczyłam się na pamięć wierszy, żeby pamięć nie straciła praktyki. Ale najczęściej siedziałam w półmroku celi, za-

topiona w myślach na zadany sobie temat. Podróżowałam po świecie, albo powoli przekładałam karty historii.

*(Tu znowu prawie cała stronica jest słabo czytelna. Z urywków zdań można domyśleć się, że Sieriebriakowa odbywała imaginacyjne podróże po świecie, między innymi wyobrażała sobie, że wspina się na szczyt Etny, albo że zwiedza Hiszpanię w różnych okresach jej dziejów...).*

Ożywały w mojej myśli... lata świetności, potęgi i upadku... ale... kiedy zapadało się wszystko, co... przychodziły paroksyzmy skrajnej rozpacz. Ja... dostawałam ataków płaczu. Jednostajność i brak nadziei działały na mnie morderczo. Dokoła cisza nie do zniesienia i samotność. Wydawało mi się, że ogłuchłam i straciłam dar mowy. Co prawda, nagle pojawili się przyjaciele. To były kosmate, szaro-zielonkawe myszki, ustosunkowujące się do mnie z całą ufnością. Wyłaziły spod pieca, a ja bałam się poruszyć, żeby ich nie spłoszyć. Jakoś udało mi się zatkać dziurę i zostały ze mną. Brałam je na dłoń, głaszcząc i pieszcząc. Ale były słabiutki i matka trwożnie piszczała pod podłogą. Wypadło je puścić. Myszki poszły. Ale oczekiwani goście wrócili i czekało ich sute przyjęcie w postaci okruchów chleba. Natychmiast moje życie nabrało pewnego sensu. Myszy odwiedzały mnie dość często. Ale ten przeblysł radości trwał niezmiernie krótko. Po kilku dniach oddziałowy podpatrzył przez otwór judasza, że już nie jestem całkiem samotna, i kiedy wróciłam ze spaceru, otwór w podłodze był zamurowany cementem. Kiedy indziej na ścianie zjawiły się czarne karaluchy i wywołały moją głośną radość.

Gdy rozpacz stawała się nie do zniesienia, zaczynałam śpiewać i awanturować się. Natychmiast wiązano mi ręce... do karceru, ale nie chciałam się uspokoić. Dzierżyński powiedział, że jeżeli człowiek... podda się i upokorzy, to jest... Buntowałam się, żeby uratować mój stan psychiczny i siłę woli. Chociaż minęło dopiero dwa i pół

roku, odkąd odzyskałam zdrowe zmysły, nikt... nie oszczędzał mojego mózgu, już kiedyś niemal całkowicie zaszczutego.

... nareszcie, po sześciu miesiącach... wezwano mnie na badanie. Mój śledczy... osobnik o przyjemnej, nieco kobiecej twarzy... Iwanow, jak mi się wydało... zdetonował. Był to inżynier i niedawno... partyjnej mobilizacji znalazł się... Nowa praca najwidoczniej mu nie...

Obok Iwanowa znajdował się... ale milczał i spoglądał... wieloznacznie. Badanie trwało... sprowadzało się do dość niewinnych... Iwanow czytał przygotowane... Sympatyczny sierżant często... ukrywać swoje współczucie pod moim adresem, ale wyraźnie... swego pomocnika. Kiedyś... wyszedł i poczęstował mnie jabłkiem... w domu wszyscy zdrowi.

Nareszcie wręczono mi akt oskarżenia. Ku memu najwyższemu zdumieniu okazało się, że jedynym świadkiem był redaktor kazachskiego przekładu mojej książki „Młodość Marksa”... bolszewik i uznany za założyciela... kazachskiej literatury, Sakien Sejfullin. Zdążyłam już zapomnieć o jego istnieniu, bo przecież widziałam go zaledwie dwa razy w życiu.

Sejfullin zeznał co następuje:

„Ja, Sakien Sejfullin, w lecie 1936 roku, podczas dekady kazachskiej sztuki w Moskwie, odwiedziłem piarkę Galinę Sieriebriakową, wręczyłem jej egzemplarz książki „Młodość Marksa”, przełożonej na język kazachski pod moją redakcją, i odbyłem z nią kontrrewolucyjną rozmowę. Następnie Sieriebriakowa zaprowadziła mnie do gabinetu swego męża i zostawiła mnie z nim sam na sam”.

— Bardzo przepraszam — powiedziałam, śmiejąc się — przecież to jest... jakaś... nawet treść naszej rozmowy nie została przytoczona, a zresztą czy można przytoczyć słowa, które nie zostały wypowiedziane... A przy tym posiadam niezbite alibi. Mój mąż znajdował się w owym

czasie w... gdzie kierował spławem. Jakże więc mogłam poznać ich ze sobą?

— To gdzie znajdował się ówczesnie wasz mąż, nie ma żadnego znaczenia — odpowiedział Iwanow. — Zostało udowodnione, że byliście łączniczką między pravicową frakcją trockistowską i burżuazyjnymi nacjonalistami w Kazachstanie. To fakt.

— Co? Oszaleliście! — zaczęłam zażarcie... kłamstwo, zażądałam konfrontacji z Sejfullinym. Iwanow... powiedział mi, że...

Odtąd i już na długie lata we wszystkich aktach mojej sprawy powtarzało się powyższe oskarżenie. Dopiero w 1956 roku, w sierpniu, na posiedzeniu biura Dzambulskiego Komitetu Okręgowego, kiedy to przywrócono mi prawa członka Partii, dowiedziałam się o tym wszystkim, co organom śledczym było doskonale wiadomo już wtedy, w 1939 roku. Przeczytano mi ostatnie, złożone tuż przed śmiercią oświadczenie Sakiena Sejfullina. Złożył to zeznanie na posiedzeniu Wojskowego Kolegium Najwyższego Sądu, które na sesji wyjazdowej skazało go na śmierć. Oto tekst oświadczenia:

„Ja, Sakien Sejfullin, oświadczam, że nie mogąc wytrzymać tortur fizycznych, które były do mnie zastosowane, rzuciłem oszczerstwo na pisarkę, Galinę Sieriebriakową. Nigdy nie prowadziłem z nią żadnej kontrrewolucyjnej rozmowy i nigdy nie widziałem jej męża”.

Ale wracam do roku 1939. Zmusiłam Iwanowa do wpisania do aktów sprawy mojego oświadczenia, że uważam siebie za niewinną. Jednakże paragrafy 10 i 11 artykułu 58 utrzymały się w aktach sprawy aż do samej rehabilitacji. Paragrafy te mówią o antysowieckiej agitacji i udziale w organizacji kontrewolucyjnej.

Śledztwo w szybkim czasie dobiegło końca. Odtąd miałam w mojej samotnej celi oczekiwać zaocznego wyroku specjalnego sądu NKWD w Moskwie.

Znowu zaczęły się dni zupełnej ciszy i milczenia. Coraz bardziej narastało wrażenie, że jestem pogrzebana

za życia. Jedynie sny przynosiły niekiedy ulgę, unosiły mnie swoją magiczną mocą ku matce i dzieciom, na wybrzeże morza, w las, albo w pola. Ale równie często koszmary zwiększały moje udręki. Odczytywano wyrok śmierci i rozstrzeliwano mnie w piwnicy. Agranow i Jeżow nie znikli jeszcze z pamięci i powracali w sennych przywidzeniach. Zaczynały się połowiczne halucynacje, zagadkowe życie poza życiem.

Zastanawiając się, jak się to stało, że Sejfullina zmuszono do oszczerczego oskarżenia, przypominałam sobie, że kiedyś moja matka opowiedziała zdrajcy Ławrowskiemu o moim pobycie w Ałma-Ata, na zaproszenie rządu Republiki Kazachstanu, i pokazała mu przekład „Młodości Marksa”. Widocznie Ławrowski, który był prowokatorem, zawiadomił o tym w swoim doniesieniu, gdy Sajfullin był już aresztowany. A zresztą, było dla mnie oczywiste, że gdybym znajdowała się nie w Kazachstanie, lecz jakiegokolwiek innej republice, to i tak zostałabym skazana.

Niekiedy nerwowe wyczerpanie doprowadzało mnie do takiego stanu, że nagle dostawałam swoistego jasnowidzenia. Czyżby gdzieś w naszej podświadomości istniały jakieś dziwne aparaty radioodbiornicze? W inny sposób nie podobna przecież wytłumaczyć zbieżności moich doznań z tym, co istotnie w tym samym czasie przydarzyło się mojej rodzinie...

*(Następna strona odbitki jest słabo czytelna; z poszarpanych strzępków zdań wynika, że uwięzionej przyśnił się pewnej nocy szkocki terrier, o którym we wspomnieniach tych była mowa poprzednio, imieniem Bulk. We śnie psa przejechała ciężarówka, co istotnie zdarzyło się w tym samym czasie w rzeczywistości. W dalszym ciągu są jakieś, niemożliwe do zrekonstruowania, aluzje do twórczości G. B. Shawa, którego autorka kiedyś poznała, i do oficjalnie uznanego sowieckiego historyka, Tarlego. Dalej idzie niemniej pokiereszowane opowiadanie o zaletach i zaślugach zabitego przez samochód psa. Jest to 74 strona odbitki.*

*Następnych pięciu stron brakuje. Część pierwsza wspomnień kończy się na osiemdziesiątej stronie.*

*Jak wolno się domyślać, wyrok na Sieriebriakową został zatwierdzony, najwidoczniej dostała dwadzieścia lat, i wyjechała „etapem” z Semipałatyńska do nowego miejsca przeznaczenia, do obozu koncentracyjnego gdzieś na Syberii).*

... lekarz nie przyszedł. Powtarzaliśmy natarczywie nasze protesty, ale bez żadnego skutku.

Późną nocą transport dojechał do Omska, gdzie nas wyładowano, aby zaprowadzić do łaźni. Przez cały czas podróży nie wychodziłyśmy z ogrzewanego wagonu towarowego, nie widziałyśmy nocnego nieba. Zataczając się, ciesząc się widokiem gwiazd, szłyśmy przez opustoszałe ulice nieznanego miasta. Nagle rozległa się komenda:

— Na kolana!

Tak było zawsze, gdy kolumna znajdująca się na etapie, musiała zatrzymać się. Więźniom nie wolno było stać i trzeba było albo klękać, albo siadać na ziemi.

Przed nami posuwało się, pędzone do rzeźni, stado kóz, baranów i świń. Popędzane batami, bydłęta niespokojnie ryczały, beczały i kwiczały. Było coś symbolicznego w tym niespodziewanym spotkaniu.

W łaźni mężczyźni tak samo nadzy jak my, podawali nam szkopki, kawałeczki mydła, zabierali brudną bieliznę do odwyszalni. Znużenie i rozpacz stępiły w nas wstyd, podobnie jak wszystkie inne żywe uczucia. Po kolei, obojętnie podchodziłyśmy do energicznego fryzjera, który golił nasze obnażone ciała.

Jeszcze przez całe trzy tygodnie transport szedł do Omska do łągru w tajdze, gdzie więźniowie pracowali przy wyrębie lasu. Wczesnym rankiem, gdy leżałyśmy pokotem, całkowicie otepiały, zobojętniały na wszystko, pociąg zatrzymał się. Rozsunęły się drzwi wagonu, rozległy się od dawna wyczekiwane słowa rozkazu:

— Wychodzić z rzeczami!

Oślepił nas blask śniegu i tnące światło słonecznych



promieni. Dokoła stał dziewiczy sosnowy bór w całej swojej pierwotnej wspaniałości i urodzie. W dole, pod nasypem, kilku wojskowych w białych kozuchach grzebało się w stosach naszych papierów, przygotowywało formularze. Szykowali się do przyjęcia żywego ładunku, zgodnie z otrzymanymi spisami.

— Ile sztuk razem? — zapytał dowódca konwoju, wskazując na nasz wagon.

— Trzydzieści jedna — zameldował żołnierz.

Tak pięknie było dokoła, tak bardzo upijało przesycone ozonem leśne powietrze, tak śpiewał zmarznięty śnieg pod stopami, że nagle zapomniałam o wszystkich nieszczęściach i poczułam się prawie szczęśliwa. Nie zwracając uwagi na krzyki i groźby wartowników, całkowicie poddana błogosławionemu odczuciu iluzorycznej wolności, wybiegłam z szeregów więźniarek, zrzuciłam z nasypu worek z rzeczami i sama potoczyłam się na dół w ślad za nim. Podniosłam się cała ośnieżona i wesoła.

— Nazwisko, imię, imię ojca, artykuł, wyrok?

Odpowiadałam mechanicznie, myśląc o zupełnie czym innym, jak to czyniłam prawie codziennie przez te dwa ostatnie lata.

Po pewnym czasie strażnicy, prowadząc na smyczach psy: owczarki i dobermany, zaprowadzili nas w zwartej kolumnie na pobliskie wzgórze. Znaleźliśmy się na punkcie przejściowym, otoczonym gęstym drutem kolczastym, przez który przebiegał prąd elektryczny. W długich barakach rozmieściło się około siedmuset więźniów, skazanych z różnych paragrafów zawsze tego samego, 58 artykułu.



## SPIS RZECZY

Słowo wstępne: <i>Partyjna droga przez mękę</i> , napisał Gustaw Herling-Grudziński .....	7
Rozdział I: .....	11
Rozdział II: <i>Rok 1937</i> .....	47
Rozdział III: <i>Rok 1938</i> .....	74
Rozdział IV: <i>Rok 1939</i> .....	93

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*  
 8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*  
 11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*  
 12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*  
 15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*  
 18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*  
 20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*  
 22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*  
 25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*  
 26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*  
 30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*  
 31. Stanisław REMBEK .... *W polu*  
 33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*  
 35. James BURNHAM .... *Revolucja manadżerska*  
 36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*  
 37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodziennja (Antologia)*  
 40. — *Program Związku Komunistów Jugostawii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*  
 41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) . *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*  
 43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*  
 44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago (Wydanie trzecie)*  
 47. Tibor DERY ..... *Niki*  
 51. Gustaw HERLING  
 GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*

52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Okno*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspañiaty świat poprawiony*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-  
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Węgry* (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCUIK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i  
Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ ... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li żizń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosy do Stawka*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
89. Witold JEDLICKI ..... *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.  
Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczes-  
nej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjsście oraz inne opowiadania i  
szkice.*
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na ob-  
czyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*

104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ ..... *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN ..... *Olivia*
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
120. Mikołaj ARŻAK ..... *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER .... *Fragmety wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER ..... *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniauskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).
129. Borys LEWYCKYJ .... *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI ..... *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10)
134. Wacław LEDNICKI .... *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?*
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*

139. Aleksander HERTZ .... *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 11)*
141. Olga SCHERER ..... *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-  
WETZ ..... *Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumen-  
ty”, Zeszyt 19)*
143. Bonifacy MIAZEK .... *Ziemia otwarta (Poezje)*
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 12)*
146. Aleksander HERTZ .... *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość (Seria „Dokumen-  
ty”, Zeszyt 20)*
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*

ACHÈVE D'IMPRIMER  
LE 3 OCTOBRE 1967  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1967



Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

## « ARCHIWUM REWOLUCJI »

Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków? Będzie to z pewnością jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek stanęły przed ludzkością: w parze z ogromem materiału do zbadania idą otaczające go od dawna gęste ciemności.

Ale nawet gdy można będzie sięgnąć swobodnie do źródeł oficjalnych jaką rękomię prawdziwości dadzą one badaczom w najważniejszych sprawach? Zapewne staną oni przed górami szpargałów zawierających ślady działalności organów wykonawczych wszystkich stopni; ale ileż z tego uda się wydobyć danych autentycznych o najdonioślejszych uchwałach organów kierowniczych? Chruszczow, na przykład, potwierdził oficjalnie prowokacyjny charakter zabójstwa Kirowa. Lecz w jakich okolicznościach i przy czym udziale postanowiono tę haniebną inscenizację? Przez kogo i jak, na podstawie jakich instrukcji, zostały sporządzone listy likwidacyjne kadr partyjnych w przewidywaniu tej zbrodni? Można bez końca mnożyć podobne pytania. Jakie realne motywy kryły się za likwidacją KPP, kto wysunął tę propozycję, kto ją zaaprobował? Odnajdzie się kiedyś świstek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Kozielska?

„Są to naiwne pytania — wyznał raz Togliatti swemu b. towarzyszowi — zważywszy że uchwały o pewnej wadze nie podlegają nigdy zaprotokółowaniu, a odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie”. Jeśli to prawda, moglibyśmy ją uważać za dowód, że nawet w okresie bardziej na pozór trwałym swojej tyranii nędznicy pretendujący do ucieleśniania sprawy Rewolucji mieli realistyczne poczucie własnej nikczemności i zdradzali uzasadniony niepokój o sąd historii. Ale kryminologia niechętnie uznaje zbrodnie doskonałe i, choć z opóźnieniem i z trudem, prawda wychodzi prawie zawsze na światło dzienne. Chodzi mi naturalnie o prawdę o szczegółach, gdyż prawda ogólna, prawda o ustroju, nie podlega więcej dyskusji dla nikogo kto myśli, pisze lub mówi w dobrej wierze.

Dzień osadzenia jej na niewzruszonych podstawach poświęcili swe siły liczni świadkowie, którzy we własnym doświadczeniu poznali terror fizyczny i ideologiczny komunizmu i postawili go w końcu przed sąd i pod pręgierz opinii międzynarodowej. Ich książki ukazały się w krajach, gdzie wolność słowa dawała agentom dyktatury możliwość zaprzeczenia. Ale nie usłyszeliśmy tych zaprzeczeń, usłyszeliśmy tylko że książki ujawniające rzeczywistość komunizmu są dziełem zdrajców, renegatów, sługusów imperializmu. Nie ma ani powodu ani potrzeby ukrywać faktu, że nawet w krajach demokratycznych te trywialne oszczerstwa osiągały dość często efekt zastraszenia niekórych samozwańczych intelektualistów „postępowych”, nie mówiąc już o atakach wściekłości ze strony dawnych towarzyszy partyjnych. I byłoby rzeczą łatwą udawać obojętność wobec tego rodzaju napaści i wobec nieodłącznych od nich aktów ekskomunikacji; byłoby rzeczą łatwą, gdyby nie pozostawiały one bolesnych ran w sercu każdego kto pozostał mimo wszystko wierny sprawie socjalizmu.

Czytelnicy książek, które *Kultura* włączyła do serii nazwanej *Archiwum Rewolucji*, powinni o tym pamiętać: są to świadectwa prawdy, które wymagały odwagi.

Ignazio SILONE

Cena 8 F. (dol. 1,75; 12/3)